Stron 12 Oplata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 20 zł

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 21 listopada 1948 r. Nr 47 (175)

BIBLIOTEKA ... W GDAŃSKU
Uniwersytetu Gdańskiego Biblioteka
C IV 9037

W NUMERZE
między innymi:

W. Kuszyk — Francja walcząca
M. Grad — Kmieco-kapitalistyczna młodość „warstwy chłopskiej"
A. Chmura — Rząd Lubelski w 1918 r.
W. Strzemiński — Realizm w malarstwie
J. Baculewski — O kierunek wychowania
A. Braun — Wiersze
T. Goździkiewicz — Cztery dni Mateusza
J. B. Ożóg — Z przyczółka dzikiej gruszy
P. Czyżowa — Odpowiedź poecie z przyczółka dzikiej gruszki

Józef Pogan

WIEŚ W OSTATNICH LATACH PRZED WOJNĄ

(pamiętnik)

Wieś ta leży między dwiema szosami: Kraków — Trzebinia od południa i Kraków — Olkusz od północno-wschodu. Do miasta powiatowego, Olkusza, 20 km, do Krakowa 18 km, do miasteczka Skała 10 km, do Krzeszowic 12 km, do stacji kolejowej 7 km.

Powierzchnia gruntów wsi wynosi 680 ha, w tym jedna trzecia lasów i nieużytków. Jakość gleby średnia: na pagórkach glina, w nizinach urodzajny less. Połowę tego stanowią gospodarstwa od dwu i pół do trzech i pół ha. Jedną czwartą posiadają tak zwani „zagoniarze" od pół ha. Reszta ziemi należy do kilku bogaczy, których jest mniej więcej tylu, co bezrolnych i bezdomnych komorników.

Ilość domów 120, rodzin około 160, osób razem około 800.

Zarówno umiejscowienie wsi, jakość gleby, różnice posiadania, jak i gęstość zaludnienia wskazują wyraźnie, że jest to wieś zwykła, przeciętna, podobna do wielu, wielu wsi polskich. W jakich więc warunkach żyli tam ludzie w ostatnich latach przed wojną?

fot. J. Chluski

I

„ZAGONIARZE"

Dom po średniaku Janie Kanarku straszy brzydotą: odrapane z wapna ściany, zmurszała strzecha, poszarpana wiatrem, świeci sz[illegible]rami i „przeplatanką" corocznej, nigdy nieukończonej łataniny. Do ścian poprzylepiane chlewiki, szopki i różne „wypustki". Pod chlewikami cztery kupki gnoju są jakby imiennym wykazem ilości nowych gospodarzy, bo inaczej wygląda tylko na dwu: z frontu tylko dwie sienie i dwa okna. Po deszczu spod kupek gnoju ciekła gnojówka tworząc w podwórku bajorko — bród dla kaczek.

Pierwsza sień wiodła do mieszkania zięciów Kanarka: Jana Jarosza i Piotra Kubery, druga do Franka Kanarka i siostry jego, kulawej Elżbiety.

Dwumorgowiec Jarosz oprócz rolnictwa miał jeszcze dwa „fachy": ścinał pokryjomu w cudzych lasach grabinę na bijaki do cepów, nosząc je na sprzedaż pod Kraków, oraz zabijał psy i koty na sadło „na oberwanie i suchoty". Coś na tym zarobił i żył jakoś.

Jednomorgowiec Kubera był murarzem, pracował przeważnie w Krakowie, a żona obrabiała kiszeczkę pola i wychowywała dzieci.

Franek Kanarek — to prawie półinteligent, były policjant i plutonowy rezerwista. Ten poza obróbką morgi ziemi nie miał innego zajęcia, wstydził się bowiem pracować we dworze i u bogaczy. Czasem wynalazł dorywczą pracę przy budowie domu w Krakowie, a resztę czasu spędzał na czytaniu gazet i dyskusjach politycznych. Za to żona handlowała pierzem.

Elżbieta kulawa żyła najnędzniej. Zestarzała się w panieństwie, aż wreszcie znudziło się jej to cnotliwe życie i dochowała się dwojga dzieci. Idąc w pole do pracy na swą morgę brała dzieci na plecy, okrywała płachtą i kusztykając wyhuśtała je, że im „pono już kołyski nie było potrzeba".

Dla reszty rodzeństwa po Kanarku nie starczyło już pomieszczenia w domu.

Po Adamie Brandysie została połowa domu, bo swoją połowę rozebrał Władek Brandys. Spadkobiercy po Adamie jakoś załatali spróchniałkami rozdarty bok dachu. Wiatr dął szparami, hulał po poddaszu, pluł deszczem, sypał śniegiem, ale to nic. Połowa domu stała kilkanaście lat służąc za mieszkania gryzącemu się wzajemnie rodzeństwu.

W izbie mieszkała matka z zamężną córką i dwojgiem innych dzieci, zaś w komorze zięć Myszkowski, stolarz. Wyrżnął w boku ściany dziurę, wprawił drzwi i miał osobne wyjście i spokój. Koło drzwi sklecił z deszczułek chlewik, obłożył go liśćmi i było pomieszczenie dla kozy. A zamiast sieni ugrodził „zachaję" z choiny. Ciasno było w tej komorze, ale przecież łóżko i warsztat stolarski jakoś się zmieściły, bo deski i inne graty leżały pod „zachają". Koło pieca było wolne maleńkie półkole i Julce było nawet z tym wygodnie: Antek nogą popychał od warsztatu wióry i obrzynki, a Julka z „siedzącka" brała je i kładła do pieca. Szło automatycznie, bez fatygi. Za to z drobieniem klusek było niewygodnie: niecki trzeba było trzymać albo na kolanach, albo na blasze kuchennej. Z ziemniakami też miała wygodnie: podniosła tylko deszczułkę i już się same kulały pod piec spod łóżka.

Witek z żoną i [illegible] długo [illegible]pieli przy teściowej. Zresztą musieliby gnieść się na kupie, ale wnet w chlewie brakło krowy i konia, więc Witek zrobił tam izbę. Był z niego trochę i murarz, i ceglarz, i cieśla, toteż sam wszystko zrobił: i drugą szybkę w okienko wprawił i piec z surowej cegły postawił. No i kładkę z deski przez dół po dawnej gnojowni zbudował.

Chlewik dla kóz sklecił Witek do spółki z Jaśkiem Brandysem przy ścianie domu. Nawet spory, że ciut-ciut to by i krowa się zmieściła.

Stodołą podzielili się na czworo, bo i Mańka, ta z „Browaru" składała swoje zboże. Bywało trochę z tym kłopotu, bo sobie kradli wzajemnie snopki, kłócili się, a nawet i bili. Ale to nic, dość że się jakoś pomieścili.

Myszkowscy żyli jakoś i w niedzielę kawę z sacharyną pijali. Ale z Witkami było gorzej, bo choć chłop miał „parę fachów w rękach", jednak rzadko kiedy znalazł robotę. A z morgi pola — to ni żyć, ni zdychać. Chłopina był trochę oczytany, toteż umiał psioczyć na rząd, na panów i księży. Zaś Hanka stale przeklinała rodziców, a matce przypominała „po co ją na świat urodziła"?

*

Po Piotrze Króliku spadkobierców ośmiu. Wszyscy dorośli, pięcioro już żonatych. Każdy chce oddzielnie żyć z swymi rodzinami. Ale jak, gdy świat wokoło „deskami zabity"? gdy nie ma wejścia do innego zawodu? Nie było więc innej rady, tylko mus było podzielić ojcowiznę, dorabiać do reszty u bogaczy, czy we dworze i klepać biedę.

Chałupiną podzieliło się troje. Niby „nowoczesna" była i jakoś dała się „przetroić". Najstarszy syn zamieszkał w kuchni, dwu w przeprawionym pokoju. Wyjście porobili osobne, aby sobie nie przeszkadzać. Wyrżnęli dziury w bokach ścian i powprawiali drzwi. I „zachaję" z choiny też zamiast sieni porobili. Tchnąca przyrodą sień niewygodna, bo choć pomieści na zimę drzewo i różnorakie graciska, ale śnieg zakurzy do imentu, zaś w lecie igliwie obleci. Więc trzeba co roku poprawiać, albo nową robić. Ale to nic, choiny pełno po lasach.

Sadem koło chałupy i polem dzielili się jak zgłodniali kromką chleba. Nie z chciwości, broń Boże, bo te Króliki to nawet zgodna z sobą rodzina. Ale pięć morgów tego na ośmioro, to dość wąsko dla jednego wypadnie. „Pomierca" taśmę gwoździem do tyczki przymocował i wyciągał prościutko. I pod oczami wszystkich spadkobierców ołówkiem w ziemi punkciki na paliki znaczył. Dzielili się „kieby kiełbasą", by nikogo nie pokrzywdzić, nie zwęzić na centymetr działki każdego właściciela.

Na sadzie stanęły jeszcze dwie chatki. Pietrek Szostek i Jasiek Wieczorek (szwagrowie) sklecili je za spłaty rodzinne. Dla trojga pozostałych brakło już placu.

Spróchniałe przyciesi chałupy Szczepana Mitki minżożyły się pod wygiętymi w pałąk [illegible], a dach zapadał się powoli. W izbi[illegible] jak w piwnicy. Ale ciemniej jeszcze w komorze u starego Wieczorka, ojczyma. Za to u zamężnej Kaśki było widno. Miała izbę w wyporządzonym chlewie. Ponieśli przez to Mitkowie sporo wydatków, bo chlew nowy musieli do ściany przybudować. Ale cóż? — trza było jakoś córkę wyposażyć, kiedy się wydała. A wydała się wcześnie i „nieźle": w siedemnastu latach wyszła za czterdziestodwuletniego Jaśka Paczyńskiego. Dychawiczny też był, ale miał trzy ćwierci morgi pola jak stół równiuśkiego, więc się uchciwili.

Pola już Mitkowie nie udzielili Kaśce, bo i nie było z czego udzielać. Niby wszystkiego było pięć morgów, ale półtora użytkowała matka w dożywociu, a półtora nieużytku. Na dwu morgach Mitkowie wiedli zakazany żywot. Nierzadko motykami uprawiali ziemię, na plecach znosili snopki i ziemniaki z pola, bo nająć nie było za co.

W wolnym od pracy czasie Szczepan chodził z cepem i kosą pod Kraków, Anielka z dziećmi po chrust do folwarcznego lasu. I zawsze boso. Nawet, gdy już w końcu jesieni śnieg przyprószył, też boso z dziećmi dźwigała z lasu ciężkie brzemiona.

Anielka zawsze miała czerwone od płaczu oczy. Płakała o zgubione jajko, o zdechłe kurczę już lamentowała. Oboje z Szczepanem stale się kłócili i bili. Dzieci też ostro karcili. Bili za każdy zniszczony gęsiami czy krową kłos zboża, krzak ziemniaka, za małą wiązkę przyniesionego chrustu... za bądź co...

Dzieci choć się zdrowe i ładne rodziły, później „robiły się jakieś niewydarzone", chorowite. Jedno chodziło „bokiem", z rozdętym brzuchem, z wielką na bok przechyłą głową, drugie chwycił reumatyzm, zaś najstarszy syn już od dwunastu lat „zdziczył się", bo unikając bicia — sypiał nawet zimą w sąsiedzkich szopach.

*

Chałupina Ludwika Nabagła jeszcze niewykończona, a już się poczęła walić, że ją chłopina słupami popodpierał. Nic dziwnego, sklecił ją z próchniałek poza wsią na dwumorgowej działce i z ośmiorgiem dzieci wiódł dziadowski żywot. Nic to nie pomogło, że Ludwik był ogromnie pracowity i „zmyślny" do wszystkiego. Trudnił się wycinaniem w lesie bijaków, murarką, stolarką, ciesiołką, nawet trumnę dla „lichszego" nieboszczyka też zrobił. Miał „siedem fachów, a ósmą biedę". Nigdy nie było czym zasiać, obsadzić, jedzenia co rok już od marca brakowało. Dzieci już od ośmiu lat oddawali do służby gospodarzom. Każdy brał chętnie te pracowite „niebożątka".

*

Franek Przeździęk powrócił z Francji. Zredukowali go tam, więc wrócił do wsi, myśląc, że się jakoś da żyć. Kupił od Wąsika stary chlewik i na półtoramorgowej działce, jaką żona dostała w posagu — w lesie, het poza wsią aż dwa kilometry, sklecił budzinę. Na jedno miał wygodnie: i liście na ściółkę pod kozę, drzewo, jagody i grzyby miał w miejscu, zaś na drugie źle: po wodę dwa kilometry. I ręczne uprawianie poletka nie pozwalało na czas po wodę, najwyżej w niedzielę. Wtedy chłopina zaglądał do wsi, opowiadał o Francji, o Niemczech, o Włochach. Uświadomiony społecznie i politycznie ten chłop, władający paroma językami, znalazł się w polskiej, w rodzinnej wsi zupełnie na pokucie, w lesie, jak święta Magdalena.

*

Stachowi Czapli obrzydło mieszkanie na odludziu. Usprzedał kawałek ziemi, kupił we wsi plac i wybudował z gliny chałupę. Nie zdążył jednak wykończyć, bo bieda i mordęga zniszczyły mu zdrowie. Zamieszkał więc w czterech pustych, nieobielonych ścianach. Jedynymi w izbie przedmiotami były stare niecki, stołek i ławka. No i piec w kącie. Cała rodzina sypiała na podścielonej na ziemi słomie, przykrytej starymi workami. Jadali bez soli, bo o okrasie zbytecznie wspominać. Pono w życiu nie wąchali zapachu słoniny.

W chałupie Czapli naprawdę „straszyło". Nikt tam nie zachodził, nawet „pan" sekwestrator. Sołtys uchylał tylko drzwi i wołał Czaplę za próg do postawienia krzyżyków pod protokółem „zajęcie nieruchomości", jak np. zboże na pniu lub w snopkach. Czapla bez wahania stawiał krzyżyki, odbierał pismo i rzucał dzieciom dla zabawki. Nie obchodziło go wcale, co z nim sekwestrator zrobi. A no, „niech se zabierze dzieci i sprzeda na licytacji".

*

Do chałupy Wawrzka Mirka na „nawsiu" [illegible] było po deszczu dojść [illegible] suchym lądem". Trzeba było skakać po sterczących wokoło sadzawki głazach. Brudna woda zalewała przyciesi izby i bokami wokoło na przeciwną stronę przed okna spływała.

Ciemno było w tej izbinie, bo cztery małe szybki zasłaniał jeszcze okap strzechy. No i Żymankowskiego grusze, jabłonie i Ziębów dom zasłaniały widok z południa. To też w lecie Mirkowie jadali wodziankę na polu pod ścianą, by nie zjeść muchy, bo się bardzo brzydzili.

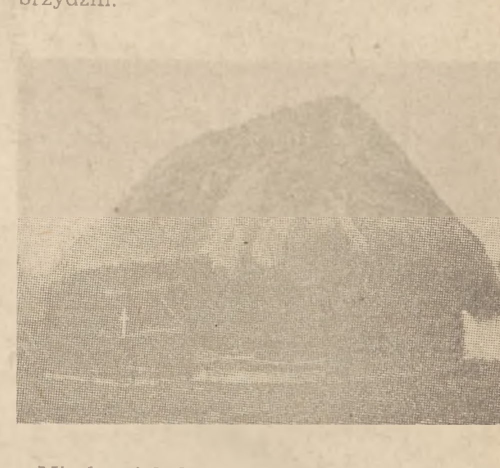

Mirek miał dwa morgi pola. Większe dzieci były w służbie, mniejsze pomagały matce zbierać borówki, grzyby, które Wawrzek nosił do miasta. Wycinał też bijaki, łupił też korę z lipy i kręcił powroziaki. W tym „fachu" był naprawdę mistrzem. Już z daleka dojrzał lipę w lesie, podszedł cicho, „rysnął" parę razy nożem po konarze i w mig obłupił drzewo. A jak już miał korę w worku — wtedy nie bał się właściciela, bo odważny był i pięść miał silną.

Chodził też Wawrzek do gospodarzy z kosą czy z cepem. Ale rzadko. Nienawidził bogaczy, klął na nich, że im nie będzie za półdarmo tyłków ucierał".

*

Ludwik Godeń sklecił na swej mordze za wsią, na tak zwanej „wydmuchówce" glinianką. Nie wiele go kosztowała, bo niemal sam z żoną wybudował. Dla kóz ugrodził pod ścianą chlewik z chrustu i liśćmi dla ciepła obłożył.

Latem Ludwik pracował we dworze, zimą młócił u gospodarzy. Balbina znów sprzątała u Brandysa we młynie. Jednego roku miała tam dość pracy, bo z łóżka spod sparaliżowanej Franki wyprzątała. Dostawała za to trochę kaszy, mąki, pieniędzy, a nawet starą koszulę po France.

Przez parę lat jakoś Godeniowie żyli i na niektórą niedzielę parę deko słoniny do kapusty kupili. Dopiero, gdy Ludwikowi spuchły nogi jak konewki — zaczął się „zokamynt".

D m l 57/052

Po Sylwestrze Nowarze zostało cztery morgi oddalonego pola i rozczochrana chałupa. Stała na placu Paczyńskiego, podwórko zaś było nade drogą, na placu gromadzkim. Dwie ściany od sadu były od dawna obłożone liśćmi; do jednej przylepiona szopa, zastępująca stodołę; zaś z przodu, nad drogą pod oknem szopa z płotu. Pół sieni zajmował chlewik dla kóz. Poza drogą ustęp i dwie gnojownie — dowód dwu mieszkańców tej budy. Po każdym deszczu policjant miewał okazję do nałożenia mandatu karnego, bo gnojówka spływała na drogę.

Wicek Nowara, jako główny spadkobierca po ojcu, zamieszkał w izbie. Miał szczęście, że starszy Ludwik przyżenił się na jakąś budę i kawałeczek pola, bo inaczej — Wicek poszedłby na komorne. Zaś zamężna Maryśka wyporządziła sobie komorę.

Gospodarze niemile spoglądali na mieszkańców tej chałupy, że to jakieś „lekkie chlebki". Bo tak Nowara jak i Szostek (Maryśczyn) nieradzi pracowali u bogaczy. Szostek grywał chłopakom na harmonii i co nieco zarobił. Zaś Nowara ścinał nocami drzewo w dworskim lesie, układał w szopie sążnie i sprzedawał je. Zazwyczaj po osiem złotych tygodniowo zarobił. Ciężko to było dźwigać drzewo pod dwukilometrowy pagórek. A jeszcze bardziej dokuczała ciemność nocy...., śliska od mrozu ziemia w lesie..., zaspy śnieżne.... Każdy grosz był opłacony poślizgnięciem, pięciogroszówka — grzmotnięciem łbem o ziemię, złotówka — wszystkimi przygodami, jakie się zdarzą w ciemności na urwistych, kamienistych zboczach lasu i drogą ponad wąwozami.

Ale Wicek był silny i cierpliwy. Przeklinał ten swój „fach"', ale innego wyjścia nie miał. Mógł był wprawdzie pracować u bogaczy, ale i zły był na nich, no i mniej by u nich zarobił, niż noszeniem drzewa.

Gospodarze pozaocznie gderali na Wicka, ale w oczy nikt nie odważył się nazwać go złodziejem. Bo Wicek, dwumetrowy niemal chłop bił w mordę. Gdy inni, czy to z konieczności, czy z szacunku dla bogaczy płaszczyli się przed nim — Wicek nie wybierał i bił w mordę, choćby to był nawet „pon" hrabia. Wickową pięść poczuł raz na sobie właściciel folwarku.

Wreszcie ucieszyli się niektórzy gospodarze: chałupa Nowarów zapaliła się w nocy, że domownicy ledwie tylko w samej bieliźnie zdążyli uciec z płomieni.

❁

Franek Karcz kupił sobie za spłatę rodzinną trzy morgi pagórzystego lesiska z folwarcznej posiadłości. Za resztę pozostałej spłaty sklecił cztery ściany na chatkę. Ale dalej już nie ruszył, — jak zamieszkał w czerech pustych ścianach, tak mieszkał kilka lat. Nic to, że taczkami gnój w pole wywoził, nic to, że u bogaczy narabiał, nic to, że z grzybami, z kwiatkami, z chojną chodził wraz z żoną do Krakowa — na wykończenie chatki nie oszczędził. Wreszcie żona od nędzy i różnych zmartwień zwariowała.

❁

Połowę murowanego z kamienia domu po Gąsce rozebrał zięć Ludwik Czapla. W oszpeconej połowie mieszkało nadal dwie rodziny: Jan Chochół i Franek Kowalski.

W obu „przegródkach" było ciemno jak w piwnicy. Książkę do nabożeństwa trudno tam było przeczytać.

Jan Chochół, dwumorgowiec — to stały wyrobnik u bogaczy i zbieracz jagód i grzybów. No i w dodatku odrabiacz dworski za plewy dla gęsi, za słomę dla cielęcia, za liście na podściółkę, za drzewo i żywność.

Jednomorgowiec Franek Kowalski pracował bezustannie u pięćdziesięciomorgowca

Andrzeja Papiza. Niektórzy nazywali Kowalskiego z powodu dużego wzrostu i siły „niedźwiedziem". Harował więc ten „niedźwiedź" Papizowi dopóki mógł, dopóki nie utracił zdrowia. Potem to tylko bezustannie stękał, pasał kózki, lub kluski zacierał i gotował. A Rózia handlowała masłem i jajkami.

❁

W murowanym domu po Cieleckim zamieszkało cztery rodziny: w jednej przegródce Ludwik Paczyński, w drugiej, większej, Błażek Cielecki, Józek Cielecki i Jan Paczyński.

Błażek Cielecki miał jedną morgę i kawałeczek jeszcze poza domem. Ten „zagoniarz" bywał tylko gościem we wsi i w domu. Nie miał dzieci, więc od wiosny do zimy łaził z żoną za zarobkiem po okolicznych wsiach Przychodzili do domu tylko na niedzielę.

Józek Cielecki — to brat Błażka i jego nieodłączny towarzysz tułaczki za groszem. Ten nie cierpiał długo i poszedł do dworu za pasterza krów. Rozprzestrzeniło się w izbie — zostało dwie rodziny, więc każda miała już swój piec, bo pierw dwa służyły trzem rodzinom.

Jan Paczyński, dwu i pół morgowiec — to pociecha dla pięćdziesięciomorgowca Papiza. Wychwalał go też, że „siece, kieby masyna". Istotnie Paczyński — to pracowity, zwinny i silny chłop. I podlizywacz bogaczy, — ciągnął zawsze naprzód, że wszyskich kosiarzy do cna umęczył.

Ludwik Paczyński, kowal, miał się trochę lepiej. Wprawdzie obstrzępany chodził, ale jałowych ziemniaków pojadł do syta i na machorkę grosz miał. Gdy mu brakło pracy w kuźni — dorabiał u Papiza we dworze.

❁

Jednomorgowy Stach Nowara, ten właściciel ćwiartki domu — to „mietlarz nad mietlarze". Jego scyzoryk ostrzygł tysiące brzózek, a plecy tysiące „ociep" wyniosły do Krakowa. Na raz brał pół kopy mioteł, albo i więcej. Zaś w czasie pilniejszych robót polnych pracował u gospodarzy.

Pracowity ten chłopina „asekurował" się pilnością i taniością pracy na dalszy czas — wyrobniczego żywota: i miotły dobre robił, a niedrogo sprzedawał i od bogaczy za dniówkę wziął co mu dali. Jak najlepiej, nie drogo, aby roboty do śmierci nie utracił.

❁

Jan Leśniak, dwumorgowiec, po każdych żniwach klepisko do młócki pod „gołym niebem" ubijał. A no, nie miał, chłopisko, stodoły, więc od razu we żniwa musiał na polu otłuc. Co przynieśli z żoną parę snopków — zaraz młócili i znów szli w pole po dalsze „porcje". Gnój też sobą wywozili, ziemniaki też motykami przeciupywali.

Do pracy u gospodarzy Leśniak nie chodził. Zresztą nikt go nie chciał najmować, bo był słaby i dychawiczny. Jednak nie próżnował, — wyszukiwał w okolicy miejsce do służb i potrzebnych służących (tak zwana „agentura"). Za to od gospodarzy dostał nieco kaszy, mąki, jakiś skwarek słoniny, zaś od „kandydata" do służby najmniej pół złotówki. Przy tej okazji „handlował" też i psami.

Większe dzieci Leśniaka stale narabiały w podkrakowskich dworach. Daleko było chodzić do pracy, ale nie było innej rady.

„Niewydarzone" były te dzieci Leśniaka: pyziate i brzuchate, z wielkimi, okrągłymi głowami i nogi miały jak podkulki, że by nawet sankami pomiędzy nimi przejechał. Ale za to były dobre i pracowite jak te pszczoły.

❁

Po Jakubie Juraszewskim zostało sześć morgów ziemi i sześciu spadkobierców. Czworo żonatych z rodzinami i dwie dziewczyny. Zamienili więc komórki na izby, pole pocięli na kiszeczki.

Matka z córkami zamieszkała w głównej izbie, „pierworodny" Jasiek w widniejszej komórce; Antoszkę Nowakowską wypchnęli do ciemnej kucki.

Matka z córkami nie miały sił na pracę we dworze czy u bogaczy. Czasem tylko z konieczności obrabiały za konną robotę w polu.

Nowakowskiego nie najmowali gospodarze, bo on „więcej patrzył do miasta niż na wieś". Łaził więc do Krakowa za pracą. Jak przełaził tydzień, to na tydzień wyszukał pracę przy budowie domów. Obrzydło mu to wkrótce i zaczął handlować jajkami, a później potajemnym rzeźnictwem. Nie długo jednak, bo gdy policja skonfiskowała mu mięso z wieprzka — dalej już nie ruszył. Znów szukał pracy w mieście, wreszcie pozbawiony środków do życia, obstrzępany jak ten strach w konopiach — musiał szukać z żoną pracy we dworze. Wieczorami naprawiał blaszane garnki i miski. „Pierworodny" Jasiek nie gardził żadną pracą. Obrabiał stale średniaka, szewca Lorenca. Kosił, młócił, kopał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnój, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doiła krowy, sprzątała w izbie itp.

❁

Poza wymienionymi było jeszcze kilku „zagoniarzy", jak mietlarz i cepak Ignacy Mirek, naprawiacz słomianych strzech (tak zwany „snopczarz") Kazimierz Szumny, miotlarz i „snopczarz" Jan Wieczorek, wyrobnik Jakub Szostak, Michał Juraszewski, Franek Leśniak, Stefan Litwa, murarz Józef Molinkiewicz, „wyprawiacz" króliczych skórek Wicek Krzynówek, naprawiacz butów Andrzej Zurek i jeszcze paru innych.

II.

ŚREDNIAKI

Średniaki byli większością i żyli różnie, zależnie od ilości i jakości ziemi, ilości rodzeństwa, warunków otrzymania gospodarstwa itp. Wielu z nich żyło tak samo nędznie jak i „zagoniarze" i przednówek co roku doskwierał. Na ogół chowali krowy, ale rzadko kiedy spróbowali masła, sera czy jajko, bo to wszystko szło na sól, na łachy, na podatki. Chleb jadali żarnowy.

Niektórzy średniacy chowali też konie i zarabiali wykorzystywaniem biedniejszych. Mienili się bogaczami i przyjaźnili się z nimi, a „zagoniarzami" pogardzali. Toteż tak samo wyzyskiwali ich w odrobku jak bogacze. Często nawet gorzej, choć nie specjalnie dla wyzysku. Gdy np. biedak odrobił we żniwa czy w kopanie kilka dniówek u średniaka, to ten, gdy przyszła orka i siew — najpierw robił sobie, a następnie, potrzebując koniecznie pieniędzy — pojechał temu, kto

fot. Film Polski

zapłacił gotówką. A odrobek „wisiał". Z tych odrobków biedacy często nie tylko nie mieli żadnej korzyści, ale nawet stratę, bo zmuszeni byli sadzić ziemniaki w końcu maja, lub w czerwcu, orać ścierniska w październiku, a żyto siać w listopadzie. Na tym tle dochodziło do różnych sporów, kłótni i bójek. A bogacze jeszcze podjudzali średniaków, wmawiając w nich, że „ni ma nic gorsygo na świecie od dziadów", zaś w biedotę — że „bogoce są statecni, honorowi i lepsi od innych".

III

BOGACZE

Pięćdziesięciomorgowiec Andrzej Papiz był „ozdobą" wsi. Jego rad, zdania i głosu w sprawach gromady każdy niemal słuchał jak kazania księdza. Nie był wprawdzie sołtysem, bo to „za niski dla niego urząd", zaś na wójta nie miał czasu i żadnego wykształcenia. Był tylko dla „okrasy" długoletnim prezesem Straży Pożarnej. Poza paroma bogaczami, najbardziej przyjaźnił się z księdzem i często go przyjmował u siebie. W każdą niedzielę jeździł z rodziną do kościoła bryczką zaprzężoną w parę koni.

Oprócz stałych wyrobników, zawsze miał parobka do koni i dziewkę do krów. Ci latem przy każdej robocie chodzili boso. Do kościoła też nie chodzili. Nie wolno im też było rozmawiać z wiejskimi chłopakami i dziewczętami, żeby „się nie zepsuli w pracowitości, w szacunku dla gospodarza i w miłości do Boga".

W przeciągu paru lat Papiz kupił trzy morgi dobrej ziemi od wyjeżdżającego ze wsi Piotra Chochoła, trzy od zawikłanego w długi Józefa Jarosza, dwie od Józefa Sypika oraz sad z zabudowaniami od Żyda Srula Wertala. Miał więc razem Papiz dwa domy i trzy stodoły.

Miał też Papiz i swoje „troski" gospodarcze. Otóż kupił sobie dwie morgi ziemi niedaleko od domu poza działką po Jakubie Leśniaku. Chciał więc kupić, albo zamienić tę działkę po Leśniaku, jednak nie udało się, bo spadkobiercy nie byli hipotecznymi właścicielami. Spoglądał więc Papiz na ową działkę i czekał cierpliwie.

Wreszcie ożenił się u Leśniaka Andrzej Derwisz i zamierzył budować chatkę na swej cząstce. Papiz się zląkł i rozpoczął „pertraktację". Dawał Derwiszowi takiż sam kawałek ziemi dalej poza wsią i jeszcze coś dopłacał. Derwisz chciał dwa razy tyle. „Zagrało" to Papizowi na nerwach. Bo jakżeż to, żeby „przeklęty dziad" żądał drugie tyle"? Dawał wreszcie półtora razy tyle. Derwisz byłby się może i zgodził, ale rodzina Leśniaków nie chciała między swoje wpuścić bogacza, bo on miedzę lubił „podskrabywać". Koniec końcem — Derwisz zbudował chatkę.

Papiz nie mógł tego przeboleć Co spojrzał na tę chatkę, to „jaz diobli nim trzęśli, że tyn dziod tak mu na złość wykroił".

— Jakby to było ładnie, syroko, żeby był dziod ustąpił po ludzku — narzekał stale.

❁

Młynarz Brandys — to najbliższy przyjaciel Papiza. Odwiedzali się stale, gościli, razem jeździli do kościoła, na jarmark, wspólnie przewodzili gromadzie.

Kacper Brandys oprócz młyna, miał około dwadzieścia morgów ziemi i lasu. Na starość nie dokupywał już morgów, tylko składał pieniądze na wyposażenie dzieci. I rzeczywiście wyposażył je dobrze, a dla najstarszego Władka pozostawił w całości majątek.

Młody młynarz nic nigdy nie robił, tylko służących i robotników pilnował. Ubierał się co dzień odświętnie i bezustannie żartował i drwił z biedaków. Ten „komediant", niczym błazen królewski, każdemu potrafił przyprawić rogi. Nawet przed kościołem też drwił z ludzi. I właśnie za ten „humor" miał jeszcze lepsze poważanie w okolicy.

Przed samą wojną młynarz kupił cztery morgi łąki, zbudował nowy dom i młyn. W czasie okupacji niemieckiej był gminnym agronomem. Poza innymi czynnościami służbowymi kontrolował gnojownie, czy też rozdawał przydział papierosów. Jakie miał dochody z tego stanowiska? — trudno powiedzieć. Po ukończeniu wojny zbudował wspólnie z dorobkiewiczem w sąsiedniej wsi elektryczny młyn.

Wojciech Bińczycki choć miał przeszło sto morgów, jednak nie stał tak wysoko „na świeczniku" jak Papiz czy młynarz Brandys. Ten był obrzydliwie skąpy i chciwy. Wolał nawet, żeby mu się zboże w polu niszczyło, niż zapłacić możliwie najemnikom. Bibułek do machorki nie kupował, tylko w papierze palił. A Walczowskiego z Radwanowic nie chciał za zięcia tylko dlatego, iż ten siedząc przy stole nie doszedł do pieca dla zapalenia papierosa, tylko zapałkę (własną) zepsuł.

Oprócz majątku we wsi, Bińczycki kupił czterdzieści morgów pod Częstochową.

Bińczycki wychowywał dzieci w zacofaniu. O tym niechaj świadczy fakt, że pod jesień zeszłego roku wnuk Bińczyckiego pisał do mnie: „Wasze „Ugory" muszą być głupią książką, bo wy pochodzicie z bardzo niskiego pochodzenia i nigdy innych nie możecie dogonić".

❁

Dwudziestomorgowiec Jan Gąska był najpobożniejszym, a zarazem najskąpszym w całej bodajże wsi. Według niego „bogactwo tylko sam Bóg pomnażał". Chodził więc w każdą niedzielę do kościoła i do spowiedzi, zaś w każde rano śpiewał godzinki, w południe „Anioł Pański", a wieczorem „Wszystkie nasze dzienne sprawy".

Gąska najemnikom odrabiał końmi, lubił płacić jak inni: zimą od osiemdziesięciu groszy do jednego złotego, latem do półtora złotego, bez jedzenia, bo tylko podwieczorek dawał jak wszyscy.

Gąska co rok przykupił jakąś morgę. Nie grymasił i kupował co popadło: nieużytek, las, skały, góry, pół morga, dwa trzy...

❁

Piotr Chmura przez długie lata sołtysował we wsi. Miał około trzydzieści morgów ziemi wraz z lasem.

Opinia o Chmurze była jak najgorsza: znany on był nie tylko jako wyzyskiwacz najemników ale i oszust. Siedem swych córek wydał już to za bogaczy, już to za „lepszych" średniaków.

❁

Józef Zbieżek też był sołtysem przez kilka lat. Poza tym zajmował dla siebie niemal wszelkie gromadzkie „mandaty".

Zbieżek miał około osiemnaście morgów dobrej ziemi i miał się doskonale. Jego zabudowania błyszczały wsród nędznych chat czerwoną dachówką.

O Zbieżku różnie powiadali: jedni, że „w czasie komasacji wielu ludzi oszukał z geometrą", inni, że „to jest stateczny gospodarz i prawdziwy kmieć".

❁

Dwudziestopięciomorgowy Stanisław Gzyl był niedołężny i głupkowaty, więc nic o nim konkretnego nie można powiedzieć. Chyba to, że wybudował bogaty dom z chlewami pod spodem.

Do bogaczy zaliczano też we wsi szesnastomorgowca Łukasza Litwę i Tomasza Królika. Chorowitego Litwę nawiedzały różne nieszczęścia jak: choroba i śmierć córki, żony i kradzież paru pięknych koni. Toteż nie dokupywał ziemi, jedynie wybudował ładny dom i stodołę „nad całą wieś".

Zaś Królik od czasu do czasu przykupił jakąś morgę.

Józef Pogan

W OSTATNIM NUMERZE 46 (174)
z dnia 14 listopada 1948 r.

Anna Kamieńska — Tradycje poezji chłopskiej; **Mikołaj Uszakow** — Rzemiosło; — **Borys Serman** — Pieśń; **Michał Kalinin** — O radzieckim wychowaniu; **Leonard Sobierajski** — „Domyślność serca"; **Krzysztof Sławiński** — Naród i wolność społeczna; **Mieczysław Grad** — Struktura klasowa wsi w XX wieku; **E. Granowski** — Metody i cele imperializmu; **Maksym Tank** — Leningrad; **Kazimierz Piwarski** — „Problem Berlina"; **Jan Lubojemski** — O spuściznę; **Wincenty Burek** — Znamienne: nie zamilkłem; **Bronisław Urbański** — „Kędyś to bywał..."; **„Nauczycielka"** — „Przedsiębiorcy" i „stamowcy"; **Dyzma Gałaj** — W odpowiedzi obrońcom działaczy-przedsiębiorców; Fakty i zdania; 23 ilustracji; 12 stron.

Władysław Kuszyk

FRANCJA WALCZĄCA

Walka ludu francuskiego trwa. Pytacie o historię tej walki po drugiej wojnie światowej? To siły ludowo - demokratyczne, gdy reakcja francuska w czasie wojny współpracowała z Niemcami i kompromitowała się tym samym w oczach narodu, stanęły na czele walki narodowo - wyzwoleńczej, łącząc ją z przebudową ustrojową Francji kapitalistycznej na ludowo-demokratyczną.

W momencie uwolnienia Francji spotkały jednak bardzo silnego przeciwnika, nie tylko

We Francji strajk górników trwa. Mimo wszelkich interwencji policyjnych górnicy nie ustępują. Na zdjęciu: grupa górników zagłębia Loary wysłuchuje bez przekonania przemowy komisarza St. Etienne

i nie tyle we francuskiej reakcji, ile w stojącym za jej plecami z całą swoją potęgą imperializmie anglosaskim.

Była to główna przyczyna dla której lud francuski pod przewodnictwem klasy robotniczej w pierwszym okresie po wojnie nie był w stanie ani rozbić starego, reakcyjnego aparatu państwowego, ani dokonać takich reform społecznych, które z miejsca dałyby przewagę klasie robotniczej nad reakcją. Niedokonanie tych reform na skutek subiektywnych i obiektywnych trudności francuskiej klasy robotniczej, pozwoliło francuskiej reakcji na złapanie tchu w walce z klasą robotniczą.

Stan zniszczeń wojennych Francji i trudności w odbudowie kraju na skutek sabotażu francuskiej reakcji popieranej przez anglosasów był drugą przyczyną utrudniającą walkę klasy robotniczej.

Wreszcie trzecią, jedną z najważniejszych było rozbicie klasy robotniczej i zdrada socjalistów, którzy weszli do współpracy z blokiem proamerykańskim przeciwko najsilniejszej partii komunistów popieranej przez liczącą przeszło 5 milionów członków Generalną Konfederację Pracy

Połowiczność i wąski zasięg dokonanych reform, jak nacjonalizacja kopalń węgla i niektórych banków, nie podważyły dostatecznie siły ekonomicznej i politycznej „200 rodzin", co pozwoliło wspieranym przez anglosasów siłom reakcji po chwilowym osłabieniu podnieść na nowo głowę i uderzyć na pozycje klasy robotniczej.

Jeszcze w okresie kiedy de Gaulle był u władzy, pod naciskiem mas ludowych francuska reakcja zmuszona była przeprowadzić nacjonalizację kopalń węgla, niektórych fabryk przemysłu stalowego, maszynowego i banków, jakie w czasie okupacji powiązały się z koncernami niemieckimi. Nacjonalizacja ta była jednak połowiczna. W przemyśle węglowym wywłaszczonym baronom zagwarantowano odszkodowanie za wywłaszczenie, oraz rentę w wysokości 8 franków od każdej wydobytej tony węgla, co przy rocznym wydobyciu około 50 milionów ton dawało francuskim przemysłowcom blisko 400 milionów franków rocznego dochodu bez żadnego ryzyka i wkładania kosztów inwestycyjnych. Pozostawiono również wywłaszczonych przemysłowców i bankierów w radach nadzorczych i zarządach znacjonalizowanych przedsiębiorstw, dając im możność uprawiania sabotażu i niezliczonych prowokacji w stosunku do klasy robotniczej, która z ofiarnością i z zapałem przystąpiła do odbudowy Francji.

Już w roku 1946 mimo wielkich zniszczeń w czasie wojny, dzięki pracy francuskiego robotnika, wydobycie węgla i produkcja stali osiągnęły poziom przedwojenny, a w transporcie i innych gałęziach gospodarki narodowej poziom produkcji był bliski przedwojennego okresu.

Dochód z podniesionej produkcji nie dochodził jednak do rąk robotnika. W miarę jak rosły zyski fabrykantów i bankierów obniżała się stopa życia robotnika.

W roku 1938 udział kapitalistów w narodowym dochodzie Francji wynosił 29 procent, w roku 1948 podniósł się do 42,5 procent, gdy w tym czasie udział w dochodzie narodowym robotników zmalał z 45 procent w roku 1933 na 38 procent w 1948 r.

W porównaniu do roku 1938 stopa życiowa robotników obniżyła się o 49 procent, płace podniosły się ledwo 10 razy, gdy dochody kapitalistów powiększyły się 30-krotnie.

Pierwsze 3 miesiące roku 1948 dały 400 miliardów zysków kapitalistom. Przypuszczalny zysk kapitalistów w bieżącym roku w związku z postępującą stale zwyżką cen wyniesie ponad trzy tysiące miliardów, gdy na wyrównanie płac robotniczych do minimum egzystencji wystarcza 400 miliardów franków. Pozostałyby jeszcze kapitalistom zyski przeszło 2500 miliardów franków, gdyby rząd premiera Queuille zgodził się zaspokoić słuszne żądania robotników. Ale rząd, wierny sługa kapitalistów, na rozkaz amerykańskich monopolów nie chciał zaspokoić żądań robotniczych. Miast podwyższyć płace robotnicze rząd podniósł służbę wojskową do 15 miesięcy, a na 1200 miliardów projektowanego budżetu na rok 1949 przeznaczył na cele wojskowe około 500 miliardów franków. W ten sposób pragnie przygotować armię francuską dla potrzeb... amerykańskiego imperializmu.

Aby pokryć tak olbrzymią sumę w budżecie, rząd podwyższył ceny elektryczności, kolei, metra, benzyny i wielu innych artykułów pierwszej potrzeby, nic natomiast nie uczynił aby podnieść równocześnie płace robotnicze.

W tych warunkach robotnicza klasa Francji nie miała innego wyjścia jak uchwycić za ostatnią broń, broń strajkową.

Fala strajków zalała całą Francję. Przeszło 4 miliony robotników w strajkach protestacyjnych wyraziło swoją solidarność z górnikami, którzy od miesiąca trwają w strajku, a włókniarze i metalowcy zażądali podwyżki zarobków od 5 listopada.

Premier Queuille powiedział oficjalnie, że strajk górników kosztuje Francję dziennie 600 milionów franków straty. W odpowiedzi premierowi sekretarz Komunistycznej Partii Francji Maurycy Thorez podał, że zaspokojenie żądań górników kosztowałoby 500 milionów franków miesięcznie.

Zdawałoby się, że nic bardziej korzystniejszego, jak załatwić słuszne żądania robotników.

Lecz ta gra wybiega znacznie dalej poza płace robotnicze.

Za reakcyjnym rządem Francji stoją amerykańscy imperialiści. Oni nakazują rządowi walkę z klasą robotniczą, z ich rozkazu zbrodniczy Moch wyprowadza kolorowe pułki i każe strzelać do robotników.

Dlaczego imperialiści amerykańscy tak brutalnie wkraczają do spraw wewnętrznych Francji? Dlaczego usiłują złamać walczącą klasę robotniczą Francji?

Amerykańscy imperialiści przy realizowaniu swojego planu gospodarczego, a co się z tym wiąże i politycznego opanowania Europy, właśnie we Francji spotkali się z zaciekłym oporem francuskiej klasy robotniczej.

Francuska klasa robotnicza, walcząc z rodzimą reakcją **demaskuje jej konszachty z Amerykanami.** Demaskuje zaprzedawanie zakładów pracy Amerykanom, którzy zamykają je, lub dopasowują do potrzeb swojego przemysłu, aby w ten sposób pozbyć się konkurenta we francuskim przemyśle. Ta amerykańska polityka doprowadza Francję do bezrobocia, obniżenia produkcji, czyni z Francji półkolonię, która zamiast rozwijać własną, narodową gospodarkę, winna tylko produkować kosmetyki dla bogatych Amerykanów.

Dlatego Amerykanie sabotują dostawę węgla z Niemiec do Francji, aby Francja nie mogła w swoich piecach hutniczych przetopić rudy lotaryńskiej i zmuszona była odesłać ją do pieców Siemensa w amerykańskiej i angielskiej strefie okupacyjnej. Dlatego Amerykanie chcą zwęzić we Francji produkcję automobilów, maszyn, a szczególnie samolotów.

Przemysł lotniczy w USA ma w tym roku 123 miliony dolarów deficytu. Aby pokryć go USA musi sprzedać do krajów marshallowskich 1160 samolotów i dlatego z kolei przemysł lotniczy francuski musiał zmniejszyć swą produkcję z 1959 aparatów w roku 1946 na 800 w r. 1948. A że równocześnie zmniejszyła się liczba zatrudnionych z 95.000 na 52.000, że w tej gałęzi przemysłu jest przeszło 40.000 bezrobotnych — to nie obchodzi dobrodziejów marshallowskiego planu.

Nie inaczej też jest w rolnictwie francuskim. Francuskie rolnictwo jest technicznie zacofane, było ono nastawione przez kapitalistów na uprawę kultur technicznych, potrzebnych do przemysłu. Zboże Francja sprowadzała ze swoich kolonii. W stosunku do Niemiec w okresie przedwojennym rolnictwo francuskie miało 50 razy mniej zmechanizowanych gospodarstw. Obecnie po wojnie postępowe siły Francji postawiły zagadnienie przekształcenia Francji na kraj samowystarczalny pod względem chleba. Francja lekko może to osiągnąć, potrzeba jej tylko niezbędnej ilości maszyn i nawozów do uprawy ziemi. Potrzeba, aby rząd przeznaczył większą pomoc dla rolnictwa. Gospodarczy plan Moneta przewidywał roczną produkcję traktorów dla rolnictwa na dwadzieścia kilka tysięcy. Ale w tych gałęziach przemysłu amerykańscy kapitaliści odkupili większą ilość akcji od francuskich fabrykantów i nie dopuścili do produkcji maszyn w ilości nakreślonej planem.

W ten sposób Amerykanie chcą zachować Francję jako teren do eksportu nadwyżek amerykańskiego zboża. Te plany gospodarczego opanowania Francji przez Amerykanów zmierzają do gospodarczego i politycznego jej obezwładnienia, aby po skruszonym oporze wepchnąć Francję do bloku wojennych podżegaczy i burzycieli pokoju.

W ten sposób razem z Europą Zachodnią i odbudowanymi reakcyjnymi Niemcami Amerykanie pragną Francję przeciwstawić krajom Europy wschodniej, krajom budującego się socjalizmu.

Na przeszkodzie realizacji tych planów stoi francuska klasa robotnicza. Ona walcząc o godziwe warunki życiowe ludzi pracy — walczy jednocześnie o niezależność Francji.

W kwietniu br. odbył się w Paryżu imponujący zjazd rad zakładowych. Z pośród wielu uchwał zjazd ten podjął uchwałę demaskowania i piętnowania tych przedsiębiorstw, które dopuszczają do udziału amerykańskich kapitalistów. Zjazd ten wezwał również francuską klasę robotniczą do walki z francuską reakcją i amerykańskimi imperialistami, wezwał do obrony **wolności i niezależności Francji**, do obrony praw republikańskich przed zamachem na nie ze strony reakcji i amerykańskiego imperializmu. Wkrótce po tym na terenie Francji powstało tysiące robotniczych Komitetów dla obrony wolności demokratycznej we Francji. Wokoło komitetów skupiły się wszystkie siły patriotyczne kraju. Przeciwko polityce ujarzmienia Francji powstał silny opór, na jego czele stoi klasa robotnicza. W tych warunkach amerykańscy imperialiści zrozumieli, że przy sprzeciwie zorganizowanych robotników nie są w stanie przeprowadzić marshallowskiego planu „odbudowy" Europy.

Postanowili dlatego rozbić siłę zjednoczonej klasy robotniczej, osłabić jej szeregi. Od trzech lat przeszło próbują na terenie Francji utworzyć biuro amerykańskiej informacji robotniczej na Europę.

CGT wystąpiła z energicznym protestem przeciw takim zamierzeniom. Amerykanie otworzyli biuro w Brukseli, skąd agenci Amerykańskiej Federacji Pracy (organizacji Związków Zawodowych w służbie amerykańskiego kapitału) z wypchanymi kiesami dolarów wyjeżdżali do Francji na robotę dywersyjną. Jesienią 1947 r. w USA zwołano konferencję działaczy związkowych.

W konferencji tej brali udział socjalistyczni działacze związkowi Francji. Pod przewodnictwem samego Marshalla konferencja omawiała plan rozbicia lewicowych Związków Zawodowych. Wkrótce po tym, bo już w grudniu, Generalny Sekretarz L. Juhaux i czterej jego towarzysze wystąpili z Generalnej Konfederacji Pracy i założyli dywersyjną, współpracującą z imperialistami, organizację zawodową Force Ovrier. Ogłosili pełną solidarność i poparcie dla planu Marshalla na terenie Francji. Jako prezent za tę akcję rozbijacze otrzymali od agenta AFL Irvinga Brovna 1.000.000 dol. Na kongresie krajowym Force Ovrier rozbijacze zarzucali sobie nawzajem pobieranie łapówek z tego źródła. W lipcu br. w Oslo odbył się zjazd starej amsterdamskiej międzynarodówki transportowców. Na ten zjazd przyjechało aż 2 agentów planu Marshalla. Wygłosili oni długie referaty o pomocy i dobrodziejstwie Ameryki, a w końcowym apelu wzywali „braci" robotników do poparcia planu

Tuż przed strajkiem górników Marshall po powrocie z Grecji zatrzymał się w Paryżu, gdzie z inicjatywy jego zwołana została nowa konferencja rozbijackich Związków Zawodowych. Omawiano tutaj znowu akcję osłabienia wpływu CGT, lecz niewiele to pomogło. Na uchwały konferencji dywersantów robotnicy odpowiedzieli potężną akcją strajkową. Agenturom marshallowskim nie udało się ani rozbić, ani osłabić siły zjednoczonej klasy robotniczej. Stoi ona niewzruszenie na straży obrony swoich interesów, które dziś już aż nadto widocznie są interesami całej Francji, jej wolności, dobrobytu i pokoju.

W ten sposób robotnicza klasa Francji rozpoczynając walkę o prawa o życia, walkę strajkową, podważa siły reakcji francuskiej i łamie zamierzenia amerykańskich imperialistów ujarzmienia Francji i uczynienia z niej kolonii i narzędzia wojennego w rękach USA przeciwko ZSRR i krajom ludowej demokracji.

To stanowisko robotników Francji w walce o chleb i wolność z całą siłą podkreślił Krajowy Kongres Związków Zawodowych. 2500 delegatów z całego kraju reprezentowało przeszło 5 milionów robotników. Na tle toczącej się akcji strajkowej górników Kongres Związków Zawodowych podjął uchwałę, która jako program na najbliższy okres została wydana w formie odezwy do klasy pracującej Francji. 8 punktów tej uchwały popieranych przez największą siłę społeczną Francji, ruch zawodowy, to droga, która gwarantuje uzdrowienie stosunków społeczno-politycznych wewnątrz Francji, droga, która gwarantuje spokój wewnętrzny, dobrobyt ludzi pracy, niezależność od anglosaskich imperialistów i wyrywa Francję z rąk anglosaskich imperialistów, a wprowadza na drogę walki o pokój wraz z obozem demokratycznym państw ludowych.

Jest to walka przeciw zwyżce cen, żądanie obniżenia kosztów utrzymania, walka ze spekulacją, obniżenie zysków kapitalistów na rzecz zwyżki płacy robotniczej gwarantującej minimum egzystencji, utrzymanie i poszanowanie praw, które klasa robotnicza dotychczas w ciężkiej walce osiągnęła; uwolnienie z więzień działaczy związkowych i Ruchu Oporu, zaprzestanie dochodzeń sądowych przeciwko strajkującym; poszanowanie demokracji i konstytucji republikańskiej, zaspokojenie słusznych żądań pracujących na terytoriach zamorskich.

W dziedzinie polityki zagranicznej robotnicza klasa Francji żąda zerwania z planem Marshalla, wystąpienia z bloku zachodniego, nawiązania przyjacielskich stosunków ze Zw. Radzieckim i krajami demokracji ludowej, zmniejszenia wojskowego budżetu i zaprzestania wojny w Indochinach żąda odszkodowań wojennych od Niemiec. Uchwalone przez kongres związków zawodowych 8 punktów, zatwierdzone przez lud pracujący w całej Francji, uderzają z całą siłą w pozycję francuskiej reakcji i jej amerykańskich popleczników. Mobilizuje ona przeciwko klasie robotniczej uzbrojone oddziały wojsk kolorowych, używa wszystkich środków, aby złamać ruch robotniczy. W przemysłowych okręgach Francji polała się krew robotnicza, więzienia zapchane są robotnikami, wszystko to dzieje się na rozkaz „socjalistycznych" ministrów, za plecami których stoją marshallowscy agenci. Mimo tego terroru lud francuski zahartowany w ciężkich bojach z kapitałem broni bohatersko swoich praw. I spotkał się on w tej walce z poparciem dziesiątków milionów robotników całego świata. W oparciu o międzynarodową solidarność robotniczą, pod kierownictwem bojowej, rewolucyjnej Komunistycznej Partii Francji walczy i odniesie nad wstecznymi siłami reakcji pełne zwycięstwo.

Strajkujący górnicy budują zapory przeciwko policji i bojówkom gaullistowskim

Mieczysław Grad

Walka klasowa na wsi rzeszowskiej (IV)

Kmieco-kapitalistyczna młodość „warstwy chłopskiej“ *)

Święto ludowe

W okresie od r. 1900 do Wielkiej Wojny liczba gospodarstw kmieco-kapitalistycznych we wi W. maleje blisko 5 razy! Liczba gospodarstw średniackich wzrasta w tym samym czasie dwukrotnie. Liczba biedniaków zwiększa się o 1/3, a kucznicy utrzymują się „w normie“. Jeżeli więc w r. 1900 najliczniejszą klasę wśród ojców rodzin stanowili kmiecie, których było znacznie więcej niż średniaków, a biedniaków było dwa razy więcej niż kuczników, to już za lat kilkanaście średniaków jest blisko dziesięć razy więcej niż kmieci, a biedniaków trzy razy więcej niż kuczników.

Do Ameryki wyjechała w omawianym okresie blisko 1/5 mieszkańców wsi. Byli to w większości biedniacy, którzy w ogóle przeważali w zajęciach pozarolniczych. Oto obraz wsi ze stałą tendencją rozdrabiania gospodarstw i ogólnym pogarszaniem się losu materialnego prawie wszystkich mieszkańców z wyjątkiem samego wierzchołka kmiecego. Kmieć o zwiększającej się licznej rodzinie w miarę dorastania dzieci spadał do poziomu średniaka i zupełnie łatwo dożywał chwili, kiedy jego dzieci w najlepszym razie były średniakami, a wnuki, już w zasadzie, biedniakami. Natomiast do owego kmiecego „wierzchołka“ należeli kmiecie o większych gospodarstwach i mniejszych rodzinach. W tych wypadkach, nawet przy średniej rodzinie można było podnosić swój los materialny poprzez intensyfikację kultury rolniczej i wzmożenie hodowli. Tym się właśnie tłumaczy fakt, że od założenia Kółka Rolniczego w r. 1904 wieś poczyniła szybkie postępy w technice produkcyjnej (1900 r. niecałkiem jeszcze żelazny pług, 1910 — już pierwszy kierat).

Do kogo zwrócił się nauczyciel z projektem założenia Kółka Rolniczego (1904 r.)? Przecież nie do proletariatu (kuczników), który żył w skrajnej nędzy często chodząc bez butów. Ani nie do biedniaków, bo cóż to za rolnik z dwoma — powiedzmy — morgami gruntu zmuszony dorabiać u bogatszego sąsiada? Zwrócił się oczywiście do tych najbogatszych, którzy by idee postępu najłatwiej mogli pojąć, do tych najbogatszych, których by było finansowo stać na podjęcie we wsi jakiejś roboty, do tych najbardziej wpływowych i posiadających władzę, którzy by potrafili przeprowadzić we wsi swoją wolę nawet przeciw ewentualnemu oporowi. Byli to zresztą ludzie z towarzyskiego kręgu nauczyciela. Jeżeli czasem wypił z kimś przy niedzieli, to właśnie z którymś z nich. Od nich też otrzymywał najhojniejsze upominki przy „zapisach“ dzieci do szkoły. Kółko Rolnicze, które obok gminy i szkoły stało się dla wsi W. oknem na szerszy świat, stało się więc instytucją kmiecą. Kmiecie to założyli we wsi sklep spożywczy i wyszynk, likwidując w ten sposób monopol i przewagę karczmarza, siedzącego tam zapewne od czasów głębokiej pańszczyzny.

Kółko Rolnicze przyszło do wsi W. na fali ruchu politycznego księdza Stojałowskiego. To przecież ksiądz Stojałowski był głównym inicjatorem i apostołem ideologii włościańskich kółek rolniczych, które miały „wciągnąć ten lud do pracy, obudzić jego własną czynność... pokierować jego własnym działaniem...

Musi więc iść popęd i porada z góry, ale praca i postęp musi być czynnikiem z dołu“ [1]).

Właśnie ów nauczyciel, który zainicjował miejscowe Kółko Rolnicze, był ramieniem księdza Stojałowskiego na terenie wsi W., był transformatorem tego popędu z góry. Do wsi W. ruch ludowy księdza Stojałowskiego w postaci „Wieńca i Pszczółki“ oraz Kółka Rolniczego dotarł dopiero w ćwierć wieku od swoich narodzin! I to dotarł tam wówczas, gdy istniało już Polskie Stronnictwo Ludowe założone przed dziewięciu laty na kongresie w Rzeszowie oddalonym zaledwie o 25 km od wsi W. (w kierunku południowo-zachodnim). Ruch Stojałowskiego dotarł do wsi W. wtedy, kiedy w P.S.L. był już sławny chłopski trybun Jan Stapiński, który na terenie pobliskich powiatów nie mało ruchu narobił jeszcze w r. 1889, kiedy znaczenia politycznego dorabiał się Wincenty Witos, i istniały już Narodowa Demokracja i PPS. Ruch Stojałowskiego dotarł do wsi W. w owym brzemiennym roku 1904, roku ukazania się książki Jakuba Bojki.

„Chcę pisać o was, moi bracia chłopi, coście po naszych spracowanych plecach przy pomocy chłopskich krup i jagieł i tego czarnego chlebusia wydrapali się na święty stopień kapłański, a nawet i biskupi... Hola, dzieci!... Wy za nasz chleb kamieniem nas bić chcecie? W was tchnięto duszę niewolniczą!... Wy przysięgali słuchać biskupów, ale my w rzeczach świeckich — nie. My o swe prawa bez was walczyć musimy i będziemy“ Tak pisał już Bojko w „Dwóch duszach“ owego 1904 roku. Bojko proklamował rozbrat z politycznym patronatem „braci starszych“ (dworu i plebanii), głosił zerwanie z feudalizmem, bo oddzielenie Kościoła od spraw świeckich wsi. Wolność chłopa do pełnego obywatelstwa w ramach kapitalistycznego systemu. „A ciebie chłopie jak podatek i procenta a kapitał regularnie płacisz, jak rekruta a powinności gminne odrobisz... toś pan całą gębą i jedna tylko śmierć cię z domu wypędzić może a zresztą nikt. Słyszysz? Nikt, nawet sędzia, nawet biskup, nawet minister, nawet król nie może cię wypędzić... ale czy ty masz odwagę cywilną do twojego dzisiejszego państwa i przy tym prawie, jakie ci przysłuża“...

Już w r. 1890 przyszło do ostrego ideologicznego starcia między Stojałowskim i Stapińskim przy okazji zjazdu chłopskiego towarzystwa parcelacyjnego w Wadowicach. Stojałowski pisał w swojej „Pszczółce“:

„1) Czy p. Wysłouch, Stapiński i towarzysze wierzą w Pana Naszego Jezusa Chrystusa, że jest Bogiem prawdziwym i Zbawicielem świata?

2. Czy wierzycie w Kościół święty katolicki, którego posłańcem i najwyższą głową jest Namiestnik Chrystusa, Papież rzymski?

3. Czy wierzycie, że 10 przykazań Bożych jest fundamentem sprawiedliwości i podstawą społecznego ładu?

4. Czy wierzycie, że prawdziwą dźwignią ludzkości jest łaska Boża poświęcająca i wspomagająca i jej źródła: siedem świętych Sakramentów Kościoła?

5. Czy chcecie pracować dla dobra Matki Ojczyzny Polski **w duchu naszej tradycji narodowej** (podkreślenie moje — M. G.) — i potępiacie potępione przez Kościół złe zasady socjalizmu?

6. Czy chcecie poprawy stosunków społecznych nie za pomocą socjalistycznych przewrotów, nie za pomocą rewolucyj i tajnych związków, ale przez wykonanie chrześcijańskiego prawa miłości i postęp oparty na zasadach katolickich?

Oto nasze pytania. Jeżeli na te pytania nie dacie odpowiedzi jasnej i stanowczej — a odpowiedzi takiej, jaką każdy katolik na nie dać powinien, wtedy powiemy, żeście wilcy w owczej skórze i walczyć przeciw wam będziemy do upadłego, tak jak walczyliśmy dotąd przeciw fałszywym konserwatystom“. [2]).

W ciętej odpowiedzi Stapińskiego zamieszczonej w „Przyjacielu Ludu“ znalazło się między innymi takie zdanie: „Nie wiem skąd ksiądz Stojałowski wie, że ja w Boga nie wierzę. Ja bym prędzej powiedział, że on nie wierzy, bo on tylko obraża Pana Boga, **mieszając Go do takich brzydkich spraw i zasłaniając Nim swoje różne postępki**“ (podkreślenie moje — M. G.).

Tymczasem w chwili zakładania we wsi Kółka Rolniczego w r. 1904 istniały na terenie wsi W. stosunki, które wymagały, by na drodze postępu z feudalizmu w kapitalizm wieś przeszła wpierw przez (mocno już, wobec sytuacji na wielu innych galicyjskich wsiach, zapóźniony) etap stojałowszczyzny. Na drodze bowiem do wykrystalizowania się świadomości klasowej proletariatu i biedniaków stał feudalny system powiązań kmieci i dziadów w poprzek podziałów klasowych.

Taki kmieć miał wokół siebie pewną ilość rodzin dziadowskich, które związane z nim były **zależnościami** nie tylko ekonomicznymi, ale także kulturalno - obyczajowymi, bazującymi na tych pierwszych. Odchodzący od kmiecia parobek otrzymywał „kolędę“ w postaci tzw. „kołacza“, który oczywiście przez obie strony uważany był za prezent. W czasie żniw całe rodziny dziadowskie z niemowlętami włącznie przybywały na kmiece gospodarstwo, przy czym żywienie nieproduktywnych (na razie) dziadowskich dzieci liczone było kmieciowi jako gest wielkodusznego miłosierdzia. W razie zachorowania dziada kmieć dawał darmo furmankę po księdza, podobnie na pogrzeb (ale już furmanka po doktora wymagała odróbki). Kiedy dziad urządzał wesele lub chrzciny, kmieć obowiązany był według starodawnego obyczaju użyczyć mu furmanki, ale z kolei jemu należał się poczęstunek. Kmieć był więc **patronem „swoich“** dziadów. Ażeby zapewnić sobie jego „opiekę“ dziady zwykle prosili kmieci i ich żony za kumów i kumeczki. W ten sposób cała niemal wieś dzieliła się w świadomości jej mieszkańców nie klasowo, ale na jakieś kmieco - kumoterskie rejony, w których pomiędzy kmieciami i dziadami utrzymywały się stosunki tak bardzo podobne do stosunków pomiędzy feudalnym suzerenem i jego wasalami. Stosunki więc poniekąd śriedniowieczne wewnątrz samej wsi. [3]). One to skutecznie hamowały proces narastania świadomości klasowej biedniaków i proletariatu, zwłaszcza że bardzo mocno usztywniła je kilkuwiekowa tradycja wsi pańszczyźnianej, wsi odległej o 6 km od Łańcuta, rezydencji hrabiów Potockich, o których kluczu złożonym z wielu folwarków o kilkuset tysiącach hektarów ziemi rozpowiadano wieczorami we wsi W. z niesłabnącym zainteresowaniem.

Dziady, tzn. klasy proletariacka i biedniacka w okresie zakładania Kółka Rolniczego w W. podlegali tam straszliwemu wyzyskowi zarówno publicznie jak prywatnie. Ledwie taki odrósł od ziemi, szedł do kmiecia za pastucha do pasienia krów, a także do innych posług gospodarskich, jak obieranie kartofli, przygotowywanie karmy dla świń itd. Po tak spędzonym dzieciństwie, które pozbawione było radości i uśmiechu, pastuch stawał się parobkiem, którego twardy dzień roboczy rozpoczynał się już o 3 rano. Nie mając perspektyw na założenie własnej rodziny z powodu braku warsztatu pracy nieraz całe niemal życie służył u kmiecia, jako parobek. A jeżeli się ożenił, to nie tylko odrabiał zagony (za jedną „rówkę“[4]) pracowało się jeden dzień przy żniwach), ale jeszcze uprzednio przyjść musiał do kmiecia z wódką, żeby ów dał zagon na odrobek jemu, a nie innemu dziadowi.

Ta kmieca przewaga dawała się odczuwać także w życiu publicznym wsi. Nie tylko Kółko Rolnicze założyli kmiecie, a w roku 1911 Kasę Stefczyka pod hasłem walki z lichwą. Kmiecie faktycznie, a nawet do pewnego stopnia formalnie rządzili wsią. Aż do r. 1919 we wsi obowiązywała galicyjska ordynacja przy wyborze radnych do samorządu gminnego. Wyborcy dzielili się na 3 „koła“: do pierwszego należeli kmiecie, do drugiego średni gospodarze, a do trzeciego małorolni. Dla kuczników nie było koła, ci w ogóle nie mieli prawa głosu!

Rada gminna i wójt w ten sposób wybrani prowadzili we wsi politykę w interesie klasy kmieco-kapitalistycznej. Np. szarwark ustalało się nie według wysokości podatku, ale według „numeru“.

Szkoła, która przed kilku laty została otwarta, choć formalnie dla wszystkich, to przecież faktycznie była narzędziem postępu przede wszystkim dla kmieci. Kmiecia stać było na to, by dziecko ubrać, kupić mu „tabliczkę“, „rysik“, elementarz i posłać do szkoły, podczas gdy dziecko proletariackie czy biedniackie albo w tym czasie musiało paść kmiece krowy, albo z braku odzieży i obuwia — zwłaszcza zimą — przykute było do przypiecka. Cały świat, zdawało się, był za kmieciami, a przeciw dziadom.

Jeżeli więc trafiło się nawet, że któryś z biedniaków wybrany został do rady gminnej, to musiał głosować tak, jak chcieli kmiecie. Niechby sprobował inaczej! Pazu-

[1]) „Wieniec i Pszczółka“ r. 1882 Nr 10, str. 74.

*) Patrz prace M. Grada: „Wieś“ nr 43 — „Walka klasowa na wsi rzeszowskiej“; „Wieś“ nr 44 — „Wieś W. na społeczno-gospodarczej mapie świata“, „Wieś“ nr 46 — „Struktura klasowa wsi w XX wieku“.

[2]) „Wieniec i Pszczółka“ z 8.6. 1890 r.

[3]) Por. także analogiczne stwierdzenia Czarnowskiego w „Podłożu ruchu chłopskiego“ — w tomie „Społeczeństwo — kultura“.

[4]) Część zagona.

Antoni Marcinek

Na drogach walki klas

Drukujemy poniżej wypowiedź z terenu. A. Marcinek należy do młodych, „samorodnych“, samouckich talentów. Poniższe refleksje-impresje pokazują jak na „zapłociu“ odbija się już hasło nowego etapu Polski Ludowej. Jak pobudza do przefermentowania solidarystycznego, pozaklasowego widzenia wsi.

Jesteśmy wychowani w świecie kapitalistycznym, w którym na każdym kroku spotykaliśmy się z wyzyskiem. Pomimo, że patrzyliśmy na to, lecz jakbyśmy tego nie widzieli, nie odczuwali...

Patrzyliśmy na wyzysk dziedzica, bogacza, chłopa, lichwiarza i wielu wielu innych, jak patrzy żołnierz na polu walki na ginących wokół żołnierzy... Patrzyliśmy, ale cóż z tego żeśmy patrzyli? Cóż z tego, gdybyśmy nie zrozumieli zasad tej niesprawiedliwości wyzysku i nie zaprotestowali?!

Mało tego, człowiek wychowany w duchu kapitalistycznym, chociaż sam był biedakiem, a więc ofiarą wyzysku, to zamiast zaprotestować przeciw wyzyskowi — sam marzył, ażeby zostać wyzyskiwaczem:

„Ach, żeby tak dorobić się, zgodzić sobie parobka do roboty, a żonie swej dziewkę“.

Dziedzic, posiadający kilka folwarków postanowił oddać parę folwarków w dzierżawę — będzie to wygodniej dla niego — za dzierżawę otrzyma czysty „zysk“, nie potrzebuje mieć styczności z biedotą folwarczną — niech dzierżawca użera się z tą głodną masą, mnie wystarczy jaden majątek z najpiękniejszym pałacem...

Dzierżawcy, ażeby się dorobić, a z biegiem czasu „na własność“ kupić sobie taki folwarczek: popędzali służbę, źle tę służbę wynagradzali, słowem „wyciskali soki“, bo jak mówi przysłowie: „Gdy dzierżawca bogacieje — z robtnika pot się leje“.

Nadchodzą żniwa — dzierżawca zmniejszył służbę, ażeby tyle nie płacić, ale teraz na żniwa musi nająć żniwiarzy, ażeby sprzątnąć zboże. Lecz to nie było dla niego zmartwieniem, małorolnych we wsi dużo, więc „zlecą się i zrobią“.

Po takiej zgodzie — robtnik spekulant — idzie do swoich towarzyszy i mówi, że zgodziłem się na akord wykosić zboże — chodźcie zemną, to zarobicie sobie: będę płacić tyle a tyle..., a więc obliczy po tyle, ażeby samemu z każdego zarobić. Ażeby drudzy nie poznali się, że on ich wyzyskuje—to razem z nimi on również kosi, ale zarabia dwa, trzy razy więcej od swoich kolegów. Te „więcej“ co to jest? — wyzysk. Takich przykładów jest bardzo wiele: na wsi, w mieście, a nawet w lesie przy robtach leśnych, lecz najwięcej ten wyzysk występuje w handlu gdy towar przechodził od producenta „drogą pośrednią“ — do konsumenta... — o tym każdy dobrze wie, bo każdy odczuł na własnej skórze.

Weźmy książeczkę z bajeczkami, by się dowiedzieć: co wstrzykiwano w dziecięce duszyczki...? Przerzucamy kartkę po kartce, czytamy tytuły bajek: wszędzie królewicze, zaczarowane królewny, bogaci kupcy i tym podobni..., a gdy zaczniemy czytać te bajeczki odkrywamy w nich zasadę nierówności klasowych... wszędzie przepych, od złota brylantów aż się mieni, od sutych pańskich potraw aż się stoły uginają, a słudzy, poddani kłaniają się „w pas“...

Czasami biedna sierotka występuje w bajeczce w roli bohatera, ale jaką rolę ten bohater odgrywa? Ano: — pasie owieczki, lub krówki. Ale czyje pasie?... „zamożnego gospodarza“, lub dziedzica... Ale za to, że pasie, ten zamożny gospodarz, lub dziedzic nie kupił tej sierotce bucików, ciepłego ubranka, nie dał jej dobrego jedzenia... I tego pisarz kapitalistycznego świata nieraz nie widzi, a cóż widzi? — Widzi sierotkę drżącą z zimna, zachwyca się melodią fujarki, a w końcu widzi duszyczkę, którą „bieda z ciała wygnała“ i ta duszyczka wędruje prosto do nieba, do Bozi, do wieczystego szczęścia!

Byłem na filmie produkcji radzieckiej. Film dla dzieci: — bajeczka. Bohaterem tego filmu był syn ubogiej wdowy, który czerpiąc wodę w wyrąbanym otworze stawu — złowił szczupaka... Chłopiec ucieszył się bardzo, bo w domu nie było co ugotować... Szczupak zaczął prosić chłopca, ażeby go puścił, a za to przyrzekł mu, że wszystko czego zażąda będzie miał, a więc zlitował się chłopiec — puścił szczupaka... ale za to, co zażądał, to się stało. Zainteresowała mnie dalsza treść filmu, gdy chłopiec dowiedział się o królewnie „Płaksidzie“, która zawsze płakała, a król, ojciec jej, ogłosił, że ten kto ją rozśmieszy — ten jej mężem zostanie...

Gdy chłopiec przyjechał do zamku królewskiego... — myślałem: Co się stanie, gdy „rozśmieszy“ „Płaksidę?“
Co się stanie?... Czy królem zostanie?... Czy zasiądzie na złotym tronie, w złotej koronie, a słudzy i poddani będą mu się „kłaniać w pas...“. Czy ten chłopiec porzuci to życie, którym żył..., zerwie z otoczeniem swojej klasy?... Byłem przygotowany do krytyki, że jeśli nastąpi to, o czem powyżej nadmieniłem — nie będzie to literatura socjalistyczna, ale kapitalistyczna... Lecz stało się inaczej — chłopiec rozśmieszył „Płaksidę“—porwał ją, a raczej ona sama wskoczyła na piec, na którym on przyjechał i uciekli z zamku królewskiego... Uciekli pomiedzy lud, gardząc tronem, złotą koroną, pychą i zbytkiem świata wyzysku.

Brawo pisarze radzieccy! — takich pisarzy świat pracy żąda. Literatura Związku Radzieckiego jest na wysokim poziomie: pozbyła się cech świata kapitalistycznego „wywyższenia“ lub „poniżenia“, a przyjęła cechę „zrównania“.

Zrozumiał. Był pojętny. Zresztą to jedno doświadczenie było dla niego pouczające nad wszelki wyraz. Z kieszeni wyjął wtedy zegarek i zapowiedział w podwórzu fornalom:

— Jutro cały dzień świętujemy. Jutro jest święto robotników! Kto się jutro od tego uchyli, ten będzie wyrzucony ze związku.

A pisarz od kuchni znowu zapowiedział rebiacie:

— Jutro każdy przychodzi do roboty, jakby nigdy nic. Jutro jest dzień robotny. Kto nie przyjdzie, ten z miejsca dostanie terminatkę... Powiedzcie to wszystko w koszarach!

I w rezultacie co? Ludzie poszli do roboty, a on do więzienia. Ci lipniccy chłopi mają rację, że się od „dworusów" odżegnują. Jak z takimi ludźmi żyć? Jak uważać ich za kolegów? Mateusz ich nie lubi. Awansując na foszpana otrzymał inne, oddzielne mieszkanie. Te dwie rzeczy: funkcja i miejsce pobytu wyniosły go poza dworską społeczność fornali i odgrodziły nareszcie od ludzi, którzy nie umieli, czy nie chcieli, walczyć o swój własny interes, o swoje własne życie.

Dobrze mu być takim, jakim jest. To, że został foszpanem, nie tylko go wyniosło spośród fornali, to go jeszcze wydzieliło z okręgu dworu aż do wsi, do Lipnicy. Mało to się z panem tam najeździł? Jeszcze teraz, kiedy dziedzic Obrzyński został tam prezesem? Chłopi tam co prawda od czasu do czasu jakąś rzecz zamachlują, a to przedtem koło młodzieży, a to teraz znowu spółdzielnię, zawsze chcą czegoś nowego. Ale pewnie i spółdzielni im nie długo starczy, jak i tego koła... Chociaż — zamyśla się Mateusz — teraz jest przecież i ksiądz i dziedzic...

Zapyta się pana Obrzyńskiego, ale chyba mu pozwoli zapisać się na członka razem z nim? To byłoby jedyne, większe jeszcze od zamieszkania oddzielnego!...

Mateusz kręci się między wozownią a cugową stajnią, chce na wszelki wypadek robić złudzenie bardzo zajętego. Wyprowadził bryczkę przed drzwi, pociągnął ją sam ku studni, nabrał wiadro wody, wziął szmatę i zaczął nią trzeć szprychy, stopnie, błotniki i spód. Robić — cokolwiek, byle nie do siana...

Jednocześnie myśli. Tamte czasy — tamtego siebie zestawia z tym sobą w dniu dzisiejszym. Jakaż różnica! Tylko go tam jedynie w powiecie bujali: wy jesteście takim! wy to i to możecie! wam się to i to należy! W rezultacie nie mógł nic, bo we dworze nie pozwolił rządca, nie pozwolił pisarz, nie pozwolił dziedzic. Stary Obrzyński miał nosa, on wiedział, co mówił. Dziś z tego wszystkiego — ze wszystkich związków zawodowych nie został nawet kurz, tylko u niego w gminie przy jego nazwisku zapisano: „karany więzieniem na podstawie par. NN. K. K." I jak świetnie ten stary wtedy zrobił, że go przyjął, że mu wszystko przekreślił, bo gdzie by on zaś z taką terminatką jakieś zajęcie znalazł? Już z tych, którzy cokolwiek za nim stali, nie ma ani jednego w Lipnicy. Wytrzęśli się dziwnie z tych stron — musieli się wytrząść. Trudno ich nawet szukać w szerokiej okolicy. Zapomnieli nie tylko pola, na którym tyle lat pracowali, ale nawet zapomnieli i jego. Pociesza się, że tak — że nie może być inaczej.

Do dziś na pewno — ile to już przecież upłynęło lat. Czas zapadł za tym jak wieko kuferka, w którym schowało się różne pamiątki młodości. A swoją drogą słowa tego ostatniego jakżeż go pieką, kiedy o nich myśli. Zresztą najlepiej o nich nie myśleć. Przyszedł wtedy wieczorem do niego z niebieską terminatką, przyszedł, a już miał na wozie główniejsze graty spakowane — i mówi:

— Słuchaj, Mateusz: gadałeś nam różne rzeczy, obiecywałeś nie wiem co, nieraz złote góry... I co z tego? Powiedz mi, co z tego wyszło? Patrz: tyś został, a mnie wyrzucają... Jak to może być? Jak? Powiedz, Mateusz: tyś to umyślnie zrobił, żeby nas potem mogli wyrzucać! Po to!... Żebyś!...

Mroczy mu się to w pamięci nienawistnym spojrzeniem przeszłości, którą już przecież skazał na śmierć po tylokrotnie od niewiadomo kiedy... Po co to wspominać? Najważniejsze, że wyniósł kości całe z tego wszystkiego i jakoś żyje...

Dlatego wieść, którą mu przynosi pokojówka, jest dla niego miła niby radosne objawienie:

— Mateuszu, pan dziedzic mówi, żebyście zwozili siano w cugowe konie... Tym małym wozikiem jakąś koniczynę białą. Wiecie?

Ucieszył się. Bezpośredniość zadania wytrąci go ze wspomnień. Za dużo tego dłubania. Ale potem ubodła go jakaś refleksja, kiedy mruknął:

— Aha, musiał ten byk coś tam nagadać!...

Teodor Goździkiewicz

Wacław Rybus

„MŁODY DZIAŁACZ" *)

(W odpowiedzi na artykuł „Przedsiębiorcy — działacze wsi")

W gazecie „Wieś" z dnia 17.IX natknąłem się się na wyżej wymieniony artykuł Dyzmy Gałaja. Z zaciekawieniem przeczytałem go, a ponieważ użyte w artykułach nazwiska są z mej wioski i treść jego jest bardzo zbliżona do poczynań Bochenia, więc to mnie skłoniło do skreślenia kilku słów. Stosunek Gałaja do tych ludzi powiem, że jest wrogi, a jeśli by powiedzieć po literacku, to nieszczery i mylny. To drugie bywa wtedy, gdy się do rzeczy nie podchodzi z rozsądkiem i sercem, a tylko dla własnego „widzimisię", albo dla tzw. „filozofii literackiej". Na początku artykułu omawiana jest świetność Godzianowa, a potem historia jego przemian. Pierwsza gwiazda Godzianowa to organista i przez niego zorganizowany chór kościelny. Dajecie mu rolę silnika spalinowego, którego, aby pracował, trzeba rozruszać ludzką siłą. Nie jestem socjologiem, ale tak zbawienną rolą nie obarczyłbym tego organisty. Po pierwsze, aby zorganizować chór trzeba ludzi chętnych i niezahukanych (wiem to z własnego doświadczenia). Po drugie, poddaję w wątpliwość czy inicjatywa założenia chóru nie wypłynęła właśnie od owych chórzystów. Fakt faktem, że pierwszą komórką życia społecznego działającą na szerszą skalę w Godzianowie był ten chór. Komórka ta rozrasta się, to znak, że ludziom tym czegoś było potrzeba. Widzieli w tym coś, co by szarość codziennego życia ich odmieniło na nowe, lepsze. Dalsza praca, przyznacie Kolego, że to już nie jest organista. Silnik pracuje. Dalsza praca to sama gromada, która zaczyna mozolnie krok za krokiem iść hen gdzieś do daleko zawieszonej latarni lepszego życia. Wejrzyjmy w historię i dopatrzmy się w niej prawa natury w ustroju rodowym. Nic też chyba dziwnego, że w Godzianowie znalazł się Rybus, Burzyński, Sołtyszewski. Jeszcze raz sięgnijmy w stare karty historii. Kiedy nasza Polska była w pełni rozkwitu? Wtedy, kiedy na jej czele stał władca mądry i pracowity— będzie brzmiała odpowiedź. Nie komu innemu zawdzięcza Godzianów swoje dzisiejsze jestestwo jak tylko samemu sobie, chęci do pracy, a w pierwszym rzędzie zdolnym działaczom chłopom jak Rybusowi, Burzyńskiemu, czy Sołtyszewskiemu. Tu leży sedno Godzianowa. To właśnie dzięki energii tej trójki, ich przedsiębiorczości, dzięki wreszcie ich staraniu i opiece nad dobrem sprawy, zawdzięcza Godzianów swą dzisiejszą świetność. Dalej — posądza się tę trójkę o kułactwo i zbogacenie się. Czy tak? Ja święcie jestem przekonany (z obserwacji Bochenia), iż właśnie mało że nie korzystali, ale w setnych wypadkach dokładali do tego interesu. Na marginesie przytoczę, iż spółdzielnia spożywców w Bocheniu trzy razy od 1936—1945 była przez kataklizm wojny redukowana do zera i trzy razy właśnie nie przez innych, a przez Rybusów. Burzyńskich i Sołtyszewskich była stawiana na nogi właśnie z ich funduszów. A przecież mogli to rzucić i nie prowadzić dalej. Mieli, według Dyzmy Gałaja, całkowicie interes — spółdzielnię we własnym ręku, trzymali ludzi w chrześcijańskiej bojaźni i ciemnocie chłopskiej, dlaczego więc jej systematycznie nie okradali, a wręcz odwrotnie — spółdzielnia rodziła spółdzielnię. Bo w ludziach tych był i jest, śmiem twierdzić, ideał spółdzielczości.

Zarzuca się tej trójce w artykule, że się wybijali i kumali z endecją. Zgoda! Ale należy postawić sobie pytanie, czyj wtedy był rząd? Przez kogo były obsadzone najmniejsze komórki hierarchii społecznej? O jakich ludzi opierały się starania tej trójki? Czy miniona konieczność nie wymagała kumania się z tamtą sferą? A zresztą, pisząc o tym kumaniu się trójki z endecją wyraźnie podajecie, że jeden był w OZN, drugi Wiciarz-ludowiec. Czy to nic nie mówi? Czy wy nie dopatrujecie się w swoich ocenach polityki tej trójki? Trzeba było wszędzie pasować. Tego wymagała przeszłość. Godzianów dlatego wypłynął, że potrafił przez macki swego organizmu wszędzie wniknąć. Potrafił dla siebie zewsząd wyciągnąć korzyści i zaskarbić je w swej gromadzie nie jako dobro prywatne, ale publiczne, społeczne. Aby jaskrawiej wysunąć mijanie się treści artykułu z rzeczywistością, należy posłużyć się przykładem. Znajdziemy go w rodzinnej wiosce Gałaja — Mystkowicach. Dlaczego to właśnie Mystkowice nie stanęły na takim poziomie jak Godzianów, mimo że posiadały i posiadają aż dwie tak znaczne jednostki w osobach Gałajów. I co ważniejsze — Mystkowice miały bliżej organistę Chruślińskiego niż Bocheń, a jednak nie był on dla nich gwiazdą dającą początek, a raczej poszedł do dalszego Bochenia, bo tam chciano się uczyć. Inicjatywa leżała właśnie w tej trójce. Gdybyśmy się zapytali przeciętnego chłopa z Mystkowic — dlaczego w Bocheniu robota społeczna idzie dużymi krokami i czyni postępy, a u nich wolno, albo wcale — odpowiedziałby tymi słowy: „Bo nam brakowało zawsze takiego Adamka Rybusa, jak wy mota". I tu leży sedno rzeczy, a nie w organiście. Nie u człowieka przychodniego, ale u stałego mieszkańca danego osiedla musi być inicjatywa. Tu się, według mnie, znajduje racja Godzianowa, a również i naszego Bochenia. Bo która wieś miała zdolne jednostki, a te chciały pracować dla niej, to osiągnięcia są na miarę Godzianowa. Nie jest sztuką według mnie kształcić się za ojcowe pieniądze, a później pójść gdzieś, osiąść wygodnie i dobrze zarabiać, a przy tym mówić i pisać o polepszeniu doli swej wsi i mieszkańców. Nie sztuka jest dla inteligenta podpatrzeć życie swej wioski i opisać ją w taki czy inny sposób, ale sztuka jest być Adamkiem Rybusem, który potrafił być wszystkim wszędzie. Sztuka jest obrobić 8 czy 10 ha. ziemi w zakresie własnych sił, a potem w każdy wieczór wziąć trąbkę pod pachę i iść na próbę muzyki, teatru, czy śpiewu. Sztuka jest, nie mając zastępstwa w gospodarstwie, oderwać się od niego i jechać załatwić interes społeczny w mieście powiatowym czy dalej, bo inny, kto by mógł, nie chciał, albo nie umiałby tego zrobić. Sztuka jest przezwyciężyć samego siebie w momencie walki z tremą jaką ma każdy chłop „nie oblatany" przy wejściu do biura powiatowego, nie mówiąc już o staroście.

Ja jestem młody. Przeżywam dobre i złe momenty pracy społecznej, kształtuję swój światopogląd. Ja rozumiem pracę społeczną, rozumiem jej wzniosłość i dlatego pracuję, będę pracował i to dla swej wsi przede wszystkim, będę chciał z niej zrobić coś więcej niż Godzianów, ale gdyby mnie tak sądzono jak Rybusa, Burzyńskiego, czy Sołtyszewskiego, to bodaj dziś kończę swą karierę. Nie chcę robić po to, aby później na łamach pisma robił ktoś mnie czy innego jeszcze za życia „tradycyjną piramidą ruchu ludowego" i odrzucał na margines jako niepotrzebnego człowieka.

A czy dzisiejsza rzeczywistość, to nie jest ta wczorajsza Polska, która dążyła do spółdzielczości, a dziś ją ma rozwiniętą w całej pełni, a tylko więcej rozwiniętą, niż wyobrażali ją sobie przed wojną Rybus, Burzyński czy Sołtyszewski? Niemniej i ten młody porucznik z Godzianowa musi zawdzięczać swoje gwiazdki takim i innym Rybusom, którzy przez swą nieugiętą pracę i długie starania doprowadzili do dzisiejszej rzeczywistości.

Wacław Rybus

*) Tytuł listu Rybusa pochodzi od redakcji.

Piotr Chmura

DO „MŁODEGO DZIAŁACZA"

Pod nieobecność kol. Gałaja, który jest na badaniach terenowych wsi, postanowiłem Wam odpowiedzieć niezwłocznie. Dlaczego? Zainteresował mnie **Wasz światopogląd**, który, jak piszecie, kształtujecie świadomie. Jesteście młodzi, garniecie się do pracy społecznej. A młodość i praca społeczna wymagają kształcenia w wiedzy i świadomości społecznej. Czy wiecie już dużo? Czy jesteście na drodze do dojrzałości klasowej, jakiej od działaczy biedniaków i średniaków wymaga historia na tym etapie ich walki i potrzeb? Pozwólcie, że jak na egzaminie, ocenię Wasz światopogląd. Powiedzieliście swoje z okazji Godzianowa. Przyjrzyjcie się sami temu, coście powiedzieli. Niech się również przyjrzy wielu innych młodych działaczy i studentów, którym na pierwszy rzut oka Wasze argumenty mogą wydawać się pociągające.

SPRAWA PIERWSZA: POGLĄD NA HISTORIĘ

Dyzma Gałaj w artykule „Przedsiębiorcy — działacze wsi" pokazał, że przez dziesiątki lat życie gospodarcze i społeczne Godzianowa organizowała trójka tych samych miejscowych gwiazd. Fakt ów wyjaśnił, jako wyraźnie historyczny (a nie przypadkowy i nie naturalny tzn. zawsze powtarzalny). To było specyfikum określonej epoki, inicjatywa określonej klasy na wsi. Inicjatywę tę zdefiniował w formule „kapitalistycznego uspołecznienia".

A teraz — **Wy**. Wy też wyjaśniacie rządy trzech gwiazd. Szukacie argumentów na **uzasadnienie** ich inicjatywy, kierownictwa i panowania. Jakie to są argumenty? 1) „Wejrzyjmy w historię i dopatrzmy się w niej **prawa natury w ustroju rodowym**. Nic też chyba dziwnego, że w Godzianowie znalazł się Rybus, Burzyński, Sołtyszewski".

Młody działaczu! W historii nie ma prawa „natury", są prawa przemian historycznych. W historii był natomiast okres „ustroju rodowego". Załóżmy, że z niego wywodzą działalność i prawo do niej Rybusy. Cóżby to znaczyło? Najpierw, że w życiu Godzianowa przedłużyły się pozostałości średniowiecza (nawet na wiek XX). Było to możliwe, proszę przeczytać w tym numerze artykuł Grada. Po wtóre — że Rybus i kompania to figury z pochodzenia i z działalności zajmujące wysokie pozycje w tej pośredniowiecznej strukturze wsi rodowo-kumoterskich powiązań społecznych. Ale w takim razie mamy do czynienia z tradycjami jeszcze większego zacofania niż kapitalistyczne. Mamy w najlepszym razie przełamywanie dopiero średniowiecza na rzecz inicjatywy kapitalistycznej. Rodowo - kumoterska więź społeczna pozwala swej elicie na kapitalistyczną modernizację już w stadium przedsiębiorstw ale rodowo-kumotersko uspołecznionych.

I przy tej koncepcji (bardzo prawdopodobnej) mamy jednak do czynienia z etapem historii wsi. A Wy mówicie o wiecznym prawie natury w historii: ustroju rodowym. Młody działaczu! Wy czytacie stare książeczki o **mistyce słowianizmu**. A o tej mistyce pisało się i wyjaśniało. Bez tej roboty rewizjonistycznej nie byłoby demokratyzacji „Wici".

Wasz argument 2) „Kiedy nasza Polska była w pełni rozkwitu? Wtedy, kiedy na jej czele stał władca mądry i pracowity". I dlatego Rybusy — jako mądrzy władcy — mieli prawo rządzić wsią? Młody działaczu z Bochenia! I to Wy, reprezentant wsi, która przez wieki była w niewoli pańszczyźnianej, a potem w okresie kapitalizmu, w wyzysku klasowym miejskiej, wiejskiej, krajowej i zagranicznej burżuazji. Wy powtarzacie burżuazyjny trick o tym, że historię tworzą jednostki i to jednostki odłączone i przeciwstawione — w rozumowaniu — społeczeństwu? Dla Was historia to nie dzieje klas i ich walk i nie podłoże materialne rozwoju zmian techniki produkcji, na którym układały się odpowiednio zmienione stosunki społeczne?

Nie, Młody Działaczu! Nie wolno Wam mówić „o wzniosłości pracy społecznej i o jej przez Was zrozumieniu", skoro nie rozumiecie, że ona jest klasowa i historyczna. Nawet ta sama klasa stoi na każdym etpie historii przed innymi celami i zadaniami historycznymi.

A dla Was to „krok za krokiem iść **hen gdzieś do daleko zawieszonej latarni lepszego życia**". Hen, gdzieś daleko lepsze życie... obiecują także w niebie!

SPRAWA DRUGA: POGLĄD NA POLITYKĘ

Wy nie kwestionujecie, że Rybusy i kompania wiązali się z endecją i OZN-em. Ale ich tłumaczycie: „Czy miniona konieczność nie wymagała **kumania** się z tamtą sferą?"... „Trzeba było **wszędzie pasować**. Tego wymagała przeszłość" Młody Działaczu, to co piszecie jest potworne! Odbieracie Rybusom nawet godność polityczną. Nie wiem, czy się podpiszą pod Waszym wyjaśnieniem. Ale nie o nich tu idzie — o Was, o Wasz pogląd. Widzicie w nich Wallenrodów (jeden był Wiciarz), którzy kumają się z siłami wówczas rządzącymi, z siłami ugniatającymi wieś biedniacką i średniorolną — po to, aby dla swojej wsi wykraść **ochłapy**. Bo skoro były takie czasy rządów endecko-sanacyjnych, to znaczy dla wsi generalnie byle... gówno! Ale gwiazdorzy godzianowscy „wszędzie pasują" i z wrogami chłopów się „kumają". A jaki wynik? Inny niż Wy wysnuwacie. „Która wieś miała zdolne jednostki, a te chciały pracować dla niej, to osiągnięcia są na miarę Godzianowa". Przecież wiecie, że kłamiecie. Prawda jest inna. Godzianowów można było w Polsce przedwojennej policzyć na palcach. Jeszcze Albigowa, jeszcze Lisków i jeszcze co... i koniec! Kto tu kogo podszedł? Endecja i sanacja Waszą wieś! To ona potrzebowała mieć takie Godzianowy, Albigowy i Liskowy, aby zatkać gębę wielomilionowym masom chłopskiej biedoty. Odszukajcie we wsi zdolne jednostki, proście je o pracę społeczną, w każdej wsi będzie Godzianów. To było oszustwo rządów wyzysku! Na taką pułapkę w takiej skali jak w Godzianowie złapać się mogli chłopi zdradzający interesy mas biednych chłopów. Zdolni do „pasowania wszędzie" i „kumania się... z tamą sferą". Za **pokazowe** kumanie się wydeptywali fundusze na **pokazową wieś**. Na wieś, która na ile była pokazową, na tyle miała być nie początkiem nowej epoki dla chłopów, ale gwoździem do trumny dla całej klasy biednych chłopów.

W pojęciu „kumania się z tamtą sferą" tkwi sprzeczność. Bo kumać się to znaczy wiązać i przechodzić w „tamtą sferę". I to było prawdą. Przecież spółdzielczość powstała jako samoobrona drobnych wytwórców, rzemieślników, robotników, potem chłopów przed wyzyskiem, który był klasowy i ustrojowy — przed wyzyskiem kapitalizmu.

A Rybusy nie działali według hasła „sami sobie". Nie działali też jako reprezentanci społeczności gromadzkiej. Ten fakt Wy podkreślacie nieustannie. Oni się wsi napychali ze spółdzielniami. Wy piszecie, że trzy razy się waliły, a oni je wznawiali i to z „własnych funduszów". Więc jak to było z tym, jak Wy nazywacie „interesem"? Idea spółdzielczości była tu zwichnięta. Organizatorzy jej kumali się i pasowali do „tamtej wrogiej sfery". Pokazowa wieś kosztowała trochę rząd sanacyjny. Byli aktorzy teatrzyku wiejskiego przeszli do reżyserii wsi pokazowej, podnosząc niezmordowanie upadające spółdzielnie, cóż więc było ich interesem? **Pokazowość wsi** ze społecznymi przedsiębiorstwami, które oni stawiali, wznawiali i prowadzili jak widowisko przed wsią i Polską „kumając się", „pasując" i wydeptując, co trzeba było, dla tego widowiskowego interesu. A dyrektorzy teatrów albo są opłacani, albo się sami opłacają. I grają takie sztuki, jakich się od nich żąda. Działacze skumani i pasujący do rządów kapitalistycznych, do klas burżuazji, nie mogli grać dla publiczności swojej wsi — wsi biedniackiej i średniorolnej w Godzianowie i w Polsce. Grali dla tej wierzchołkowej części wsi, która w swych dążeniach od dawna ciągnęła do „tamtej sfery".

Dlatego było to, jak pisał Gałaj, „uspołecznienie kapitalistyczne".

Wyobraźcie sobie Młody Działaczu, że przywódcy wszystkich wsi kumali się i pasowali do rządów sanacyjnych — czy byłby możliwy przewrót ustrojowy? Czy posunęłaby się historia wsi naprzód? Gałaj pokazał, że Rybusy nie byli wyrazicielami i przywódcami klasowego interesu wsi średniorolnej i biedniackiej. Przywódcy chłopów biednych nie mogli i nie kumali się z wrogami klasowymi. Walczyli z nimi. Działacz społeczny nigdy się „nie kuma" i nie „pasuje wszędzie". Walczy i zawiera sojusze z klasami, jak jego, uciskanymi i walczącymi.

Przemyślcie Młody Działaczu sprawę sojuszu robotniczo-chłopskiego na obecnym etapie w Polsce Ludowej. Sojusz zjednoczonej partii robotniczej z biednym i średnim chłopstwem. I wyplujcie raz na zawsze słowa „kumać się" i „pasować wszędzie". Nigdy one nikogo nie rozgrzeszają, zawsze potępiają!

Piotr Chmura

Jan Bolesław Ożóg

Z przyczółka dzikiej gruszy

(odpowiedź krytykom i recenzentom)

Radom, 1 listopada 1948 r.

Do Redakcji „WSI"

Od jakiegoś czasu spotyka się ustawicznie na łamach czasopism, a głównie „Wsi", ataki na autentyzm i autentystów. W Nr 44 Br. Urbański w artykule p. t. „Drogi i rozdroża literatury chłopskiej" nie zdając sobie całkowicie sprawy z tego, o co się właściwie bije autentyzm, znowu napada na „prowincjonalną", jak mu się zdaje, „Okolicę Poetów". Główne zarzuty oponentów zmierzają, zdaje się, do stwierdzenia, że autentyzmowi brak określonego bliżej stosunku do zagadnień bieżącego życia. Proszę Redakcję o udzielenie mi głosu, abym mógł na zarzuty odpowiedzieć. Jedna strona wypowiedziała się już, jak mi się zdaje, całkowicie, czas więc na głos strony drugiej.

J. B. Ożóg

Marksiści, którzy przyznają, że hasła autentyzmu są dla nich czasem czymś aż za bardzo jasnym i bliskim, radzi by, realizując je, obdarzyć go światopoglądem socjalistycznym. Przypominają wypowiedzi bliskiego autentyzmowi (w ostatnim okresie twórczości) poety Ignacego Fika, który chce, żeby sztuka była metaforyzacją rzeczywistości, a ta rzeczywistość żeby kąpała się w barwach światopoglądu socjalistycznego. W rzeczy samej poematy Fika, w pewnym sensie bardzo autentystyczne, są ilustracją jego ideologii i miłą fotografią marzeń i ustroju, najbardziej postępowego i najbardziej wypełniającego postulaty wszystkich warstw społeczeństwa", za jaki uważa ustrój komunisyczny. Przykład: „Pieśń o Wiedniu"

Na potwierdzenie, jak rozbieżne sądy trafiają się u poetów na temat, który ustrój jest najbardziej postępowy, posłużyć może fakt, że nacjonaliści Dobrzyński i Pietrkiewicz upatrywali go przed wojną w narodowym faszyzmie, a ja w pewnym okresie w totalizmie chłopskim.

Wspominam o tym nie tylko dlatego, żeby wykazać, jak rozmaicie może wyglądać w odczuwaniu poetów w rozmaitych czasach metaforyzacja rzeczywistości, lecz nawiasem także i dlatego, żeby wreszcie odeprzeć najzupełniej bezpodstawne zarzuty, że autentyzm to tylko chłopski naturalizm i że autentyzmowi brak zabarwienia społecznego, a więc bliżej określonego stosunku do społeczeństwa.

Sąd taki co najmniej zdumiewa. W ogóle dziwne, żaden dotychczasowy prąd literacki nie zmobilizował przeciwko sobie tylu wrogów (nie tylko wśród grafomanów), nie wywołał tylu zdziczałych sprzeciwów i insynuacji, które trzeba było prostować i których trzeba się było ze zdziwieniem wypierać, co autentyzm.

Dzieje się to, myślę, dlatego, że autentyści są w przewadze z pochodzenia chłopami albo robotnikami, a u nas ciągle jeszcze utrzymują się mieszczańsko - szlacheckie uprzedzenia do wsi, czego się powojenni demokraci nie mogą jakoś pozbyć i skąd absolutnie nikt w naszym kochanym kraju nie chce zapoznać się dokładnie z teorią Czernika, drugie, że do krytyki właśnie autentyzmu zabierają się rozmaici podszczuci przez kanalie (nie brak ich) początkujący studenci poloniści, którzy rąbią na ślepo, na ile sił im starcza, używając sobie ile wlezie, tym mocniej, im więcej przekonani o pełnej europejskości własnej pseudo - kultury wyniesionej z gimnazjum i ze skąpej lektury czasopism literackich — uczyć chcą głupich i zacofanych w ich mniemaniu kmiotków, jak należy pisać.

Niedawno temu popularny krakowski poeta Jalu Kurek zwierzał się w „Dzienniku Polskim", że w swej podróży literackiej po kraju trafił m. in. także do Lublina. W mieście tym on, dziennikarz i pisarz, był po raz pierwszy w życiu. „Było się — wyznaje beztrosko — w Barcelonie, Myślenicach, Tunisie, Rzymie, Tarnowie, a nie znało się Lublina".

Całe dwa ostatnie pokolenia literackie to ludzie tego pokroju co Kurek, skądinąd wcale porządny obywatel. W okresie jakiej takiej wydajności bierze taki facet trochę forsy od rządu albo z jakiegoś dziennika i jedzie za granicę, właśnie do Rzymu czy Barcelony, albo... Argentyny, a na starość, gdy już nie ma o czym pisać, objeżdża kraj, nakpi z jakiegoś Radzymina czy Kłaja, napisze to potem w jakimś „Dzienniku Polskim" i sądzi, że on, wielki mistrz i mag, jest już ze wszystkim w porządku. Tak u nas wygląda poznanie kraju.

Czy wobec takiego stosunku jednego i drugiego poety, uchodzącego w opinii powszechnej za bardzo nowoczesnego i bardzo europejskiego, do kraju i wszystkiego co krajowe można się dziwić, gdy okolice naszego rodzinnego autentyzmu w opinii hołoty literackiej uchodzą za Kłaj czy Pipidówkę?

Pechowi wyrobnicy pióra patronują obecnej nagonce na nas. Ten najzupełniej zwyrodniały rewizjonizm „rewolwerowy", jak go trafnie nazwał swego czasu Czernik, przeszedł już, jak widać w obowiązującą tradycję, skoro do dzisiejszego dnia nie zamilkło jeszcze ujadanie recenzentów (Matuszewski, Kiwilszo, Lichniak itp.) i nie odezwał się głos sumiennego krytyka, który by dyskusję o autentyzmie sprowadził na właściwe tory.

Ale do rzeczy.

Czernik pisał tak: „Zasadniczy kościec autentyzmu: poszukiwanie prawdy artystycznej w ścisłym związku z poszukiwaniem prawdy życiowej".

Uważam, że słowa te nie stoją w żadnej kolizji z postulatami tzw. uspołecznionej literatury.

Kto nie trudzi się poszukiwaniem prawdy? Nawet marksista szuka prawdy. W rzeczy samej czym jest taka czy inna ideologia polityczna, jeśli nie próbą szukania również w wysokim stopniu prawdy życiowej i szczęścia? Myślę, że uprawianie wszelkiego rodzaju tematyki, a więc m. in. i społecznej jest nakazane przez każdą poetykę i jest samo dla siebie zrozumiałe. Czernik wysuwać tej sprawy na czoło nie uważał po prostu za stosowne, wydaje się to tak oczywiste.

Gdzie indziej Czernik powiedział, że prawdziwy, mocno ukształtowany poeta staje się poetą społecznym przez sam proces tworzenia, nie uświadamiając sobie nawet tego, nawet gdy nie porusza spraw społecznych i nie walczy wyraźnie o nowy porządek świata. Wystarczy żeby tkwił korzeniami w życiu określonej grupy społecznej, skąd pochodzi.

Nie znaczy to oczywiście, żeby twórcy nie wolno było stać się, gdy tego wymaga chwila, czy jego osobista postawa etyczna, takim bojownikiem jak, dajmy na to, Majakowski.

Ani jednym słowem ani Czernik, ani ja i żaden w ogóle z autentystów nie wystąpił z potępieniem tego rodzaju twórczości, co poezja estradowa. Sztuka Majakowskiego była drożdżami i chlebem, na których urosło życie ZSRR i jego potęga. Daj Bóg, abyśmy wydali i my poetę o takiej skali talentu co autor „Lewa marsz", który by przy — naturalnie — innej, własnej, oryginalnej technice dał nowym czasom treść tak życiodajną, jaką dał on!

Daleko do niego mają poeci naszej Awangardy — i myślę, że jeśli narodzi się pisarz tej skali co rudy osiłek z Moskwy, to narodzi się w atmosferze właśnie autentyzmu.

Choć autentyzm nie wysuwa haseł tzw. poezji społecznej na front wszystkich zagadnień, to jednak dominuje ona w wypowiedziach czołowych jego przedstawicieli. Spotykamy się u tych poetów ze zrozumieniem najistotniejszych potrzeb, jakich się domaga postęp społeczny i życie. Ale poezja ta daleka jest od wulgarnej tzw. „poezji rewolucji" tego typu, jaki często spotykaliśmy przed wojną w zgiełkach nawołujących do rzezi i niszczenia, np. u Bronisława Kamińskiego czy Gronowicza, albo jaki w ostatniej chwili spotykamy często na łamach „Wsi".

Potwierdzeniem uspołecznionego autentyzmu są przedwojenne i powojenne poezje „Okoliczan". W „Powodzi i śmierci", oraz w „Trudnym życiorysie" Czuchnowski żywo się wczuwa w byt chłopa i robociarza. Przedwojenny Czernik w „Przyjaźni z ziemią" kreśli nędzę chłopa, któremu rad by oddać wszystek węgiel, naftę i sól z kopalni, a Ożóg idzie jeszcze dalej, bo żąda w „Odzie polnej" wyłącznej władzy dla chłopów w państwie totalnym z marszałkiem - chłopem na czele.

O równość społeczną i prawo dla wsi rodzinnej dopomina się Frasik w ujmujących poematach np. „Druga ojczyzna". Dobrzyński zaś i St. R. Dobrowolski sprawę walki o prawa polityczne przenoszą na teren miasta.

Samo wkroczenie przed wojną w literaturę chłopów - autentystów było potężną manifestacją sił „dołów społecznych" przeciw siłom „elity".

Po wojnie problematyka społeczna u autentystów rozszerza się i wybija na czoło we współczesnej literaturze.

Nędza - Kubiniec w poemacie o zbójniku Janosiku, „który chciał porównać świat", rysuje niedolę i nędzę wsi i szamotanie się górali z panami i księżmi, mało tego, posuwa się dalej, czyni z Janosika bohatera narodowego, hetmana chłopskiego. Podobnie Kubisz w „Balladzie o hawirskim Śląsku" przenosi nas w odległe czasy pańszczyźniane i rzuca ciupagą w grafów niemieckich, którzy piją krew górników i chłopów nad Olzą.

W malowanych pawimi piórami sielankach Frasik kreśli kłótnie sąsiedzkie na wsi i zatargi graniczne, narastanie miasta w miedzę polną, to samo próbuje za nim epigon jego i mój, Edward Marzec, a ja (przepraszam za nieskromność, ale czasem pisanie o sobie jest obowiązkiem) zająłem się problemem repatriacji i osadnictwa na Ziemiach Odzyskanych („Prośba", „Teraz Polna" w tomie „Jej wielki Wóz").

Zbliżony do autentyzmu Ozga - Michalski w nierównym artystycznie, ale treściowo bardzo ciekawym „Poemacie nowosieleckim" powraca do głośnej „sprawy nowosieleckiej" i pojedynku chłopstwa z polityką Marszałka Rydza-Śmigłego.

Nawet taki Olcha, któremu wprawdzie daleko jeszcze do autentystycznej doskonałości, ale który w wierszach poetyzujących parcelację ziemi („Moje pole") zbliża się do ideału poety - autentysty, gdy zdobywa się na oryginalną treść, dogłębnie przeżytą, jest także pisarzem społecznym, o nowej, czynnej postawie wobec życia — w stopniu o wiele wyższym, niż, dajmy na to, Jastrun, Przyboś czy... Włodek i Bratny.

Ci ostatni często uzurpują dla siebie tytuł poetów społecznych, a nie pamiętają o tym, że o pisarstwie społecznym decyduje nie przynależność partyjna, ale właściwe dokonanie artystyczne połączone z czynem społecznym.

O to chodzi, by poeta rozumiał jak najsilniej interesy kraju i ziemi i żeby tej ziemi trzymał się rękami i nogami. Ziemia wychowuje i uczy. Kto rozumie ziemię, to choćby był robotnikiem, górnikiem, inteligentem, marynarzem, będzie czuł, jak czuje autentysta. Tu, na ziemi rośnie olimpijski ogień na wszelki użytek, nie na płycie kawiarnianego stolika.

Jakkolwiek by kto sądził, wydaje się nam oczywiste, że nigdy prawdziwej poezji nie stworzy poetyka wyrosła jedynie z kalki „Kapitału" Marksa.

Mało też obserwacja. Nie wystarczy zwiedzić szyb węglowy i wystawę Ziem Odzyskanych, żeby się stać poetą „nowej rzeczywistości", jak nie wystarczy zobaczyć Gdańsk, czy Szczecin, żeby zostać marynistą.

Nie omyli się, kto to zrozumie, że należy niekiedy zachować jak najdalej posunięty krytycyzm wobec tego, co nam życie przynosi w swojej torbie. To jest właśnie czynna postawa wobec życia, nie niewolnicze taszczenie na barkach tego, co ono nam daje. Rzeczywistość, nawet budowana przez nas albo budowana z naszą aprobatą oszukuje nas zbyt często. Musimy sami siebie mocno brać za pysk, jeśli nie chcemy, by nasze fantastyczne zachcianki, nasze plany, w zasadzie słuszne i dobre, nie przyniosły nam zagłady.

Cóż dopiero mówić o życiu, którego nie kontrolujemy, którego skontrolować w danej chwili nie jesteśmy w stanie. W tym wypadku musi być zachowana czuła ostrożność do pory, nim nie stanie się ono naszą psychiczną, dogłębnie przeżytą własnością.

Mimo woli cisną mi się do warg słowa z anegdoty o chłopie, który wysłał synka do gimnazjum i na pożegnanie udziela mu ostatnich rad: „Do szkoły chodź, po mieście patrz naokoło, profesorów słuchaj, ale kuferek zamykaj i swoje sobie myśl!". Właśnie: patrz naokoło i słuchaj, ale kuferek zamykaj i swoje sobie myśl. To jest mądra zasada. Zdolna jest stworzyć życie.

Pamiętajmy, że ani jeden człowiek nie jest nieomylny, cóż dopiero program literacki! Życie buduje się ze sprzeczności i omyłek. Świat to dla nas ustawiczna niespodzianka. Trzeba umieć dobrze obserwować i dobrze wybierać, żeby nas nie pochłonął jamą bagna, porosłą ładną, zieloną łąką.

Paulina Czyżowa

Odpowiedź poecie z przyczółka dzikiej gruszki

Wystąpienia autentystów stają się już piętrzeniem powietrznej wieży, buduje się coś na czymś, co w ogóle nie istnieje. Stanisław Czernik nie podtrzymuje, nie rozwija swojej, jak Ożóg pisze, teorii, zajmuje się krytyką literacką — prywatnie, nie z pozycji przedstawiciela grupy. Stanisław Piętak odrzekł się jakiegokolwiek związku z autentyzmem. Jeden Jan Bolesław Ożóg otoczył się okopem, założył przyczółek wojenny „pod dziką gruszką" i dalej walczy, a właściwie tylko robi huczek dokoła swojej osoby szkodząc swoimi wystąpieniami publicystycznymi własnej poezji. Jan Bolesław Ożóg dobrze wiedział przesyłając swój artykuł o autentyzmie do redakcji „Wsi", że kładzie rękę w paszczę lwa. To też polemika chyba go nie zdziwi.

Taktyka wojenna Ożoga niewątpliwie zmienia się i to należy zauważyć. Zmiana polega na tym, że Ożóg broni swojego „przyczółka" przeciągając go na pozycje przeciwnika. Tak jak np. drobnomieszczanie bronią swego fideizmu wobec lewicy twierdzeniem, że chrześcijaństwo to prawdziwy socjalizm, tak i Ożóg przeciąga autentyzm na stronę, z którą polemizuje i deklaruje, teraz właśnie, zgodność autentyzmu z socjalizmem, super - lewicowość teorii autentycznej, przypisuje jej „charakter manifestacji kulturalnej „dołów społecznych" przeciwko kulturze elity i kawiarnianego stolika.

Historia uczy. A jednak ta maskarada, jaką urządza Ożóg z autentyzmem, tym wyraźniej odsłania jego, a przede wszystkim własne — Ożoga niekonsekwencje, mówiąc nieco prościej — absurdy.

Filozoficzne założenia autentyzmu, jak je formułuje Ożóg, są zupełnie mętne i tak obszerne, że mieści się w nich wszystko. Co dobrego w literaturze — to autentystyczne. Nawet polski Majakowski ma wyjść z atmosfery autentyzmu.

Dziwi się Ożóg niezmiernie, dlaczego to właśnie autentyzm budzi tyle protestów w świecie literackim i tą manią prześladowczą zdradza jeszcze raz swoją nieprawdopodobną zarozumiałość. Język polemiki Ożoga nie skłaniałby w ogóle do odpowiedzi, gdyby nie sprawy merytoryczne. Towarzystwo, do którego zwraca się Ożóg, to „hołota literacka", młodzi krytycy — poloniści „poszczuci przez kanalie", „ujadający recenzenci" itd.

Przyczyn niepopularności autentyzmu doszukuje się Ożóg w tym, że przedstawiciele tego „prądu literackiego" są z pochodzenia chłopami albo robotnikami, a w „naszym kochanym kraju" rządzą ciągle uprzedzenia mieszczańsko-szlacheckie.

Podejrzewania dzisiejszej krytyki literackiej o uprzedzenie do pisarzy pochodzenia chłopsko-robotniczego — jest podyktowane jakimś dziwnym — jak powiedziałby Pigoń — urazem społecznym. Rzecz się ma wręcz przeciwnie. Chucha się u nas i dmucha, jeśli można tak rzec, na chłopską literaturę. Wiele książek — powieści Gałaja, Mortona, Pogana, pamiętniki L. Rudnickiego — zostały przez krytykę ocenione nieraz wyżej obiektywnej wartości artystycznej ze względu na cenny materiał poznawczy, społeczny, jaki zawierają, ze względu na nową problematykę i świeży teren pisarskiej obserwacji.

Z poetami sprawa jest trudniejsza. Samo doświadczenie społeczne wynikające z pochodzenia, jak mówi Ożóg — „z warstw dołowych" — nie wystarcza. Gdybyśmy zresztą nawet spróbowali prześledzić tzw. chłopską poezję ze względu na treść społecznego doświadczenia, jakie zawiera — okazałaby się ona dość uboga. Recenzje krytyczne z tomików poetów chłopskich stwierdziły określoną w każdym wypadku konwencjonalność literacką tej poezji. Poeci chłopscy piszą o wsi w kategoriach poetyki mieszczańsko-inteligenckiej, bo nie istnieje żadna robotniczo-chłopska poetyka, natomiast wydźwięk ideologiczny ich ujęcia wsi da się również łatwo umieścić w mieszczańskich ideologiach łączenia się z ludem, powracania do wsi, do chłopa jako do prymitywnego człowieka natury, do ziemi.

Chłopskie przywiązanie do ziemi — określała ekonomiczna sytuacja wsi polskiej polegająca na głodzie ziemi wynikłym z przeludnienia i na przymusowym zamknięciu środowiska pozbawionego szerszego ujścia do przemysłu. „Przywiązanie do ziemi" wyganiało chłopów ze wsi do Ameryki, jechali oni z myślą, że po powrocie dokupią morgów. „przywiązanie do ziemi" kazało bogatemu chłopu dokupywać ziemi od zadłużonych wiejskich biedaków, wreszcie „przywiązanie do ziemi" wypychało pozbawionych roli do fabryk i kopalń, gdzie stawali się i faktycznie, i w świadomości polską klasą robotniczą.

Taki był charakter tej chłopskiej miłości do ziemi — albo wyzysk drobno-

rami chyba musiałby sobie własny kawałek pola zaorać, a pniaki z lasu to chyba taczkami przywieźć. W tym układzie stosunków na wsi W. w początkach XX wieku historia polityczna zaczęła się, rzecz jasna, od „Wieńca i Pszczółki" i Kółka Rolniczego, do którego poszli kmiecie, by pod patronatem szlachty i Kościoła robic we wsi „ruch" we własnym kmieco-kapitalistycznym interesie.

Tymczasem stopniowo do wsi W. powracali reemigranci z Ameryki. Niektórzy przecież wyjechali tam jeszcze przed rokiem 1900. Dwaj zwłaszcza z nich, oczywiście też kmiecie, ale tacy, którzy musieli jechać aż na drugą półkulę, aby uratować swą kmiecość zagrożoną podziałami rodzinnymi, pomnożyli wydanie siły miejscowego akywu „kółkowego", reprezentowanego dotąd przez zasiedziałych kmieci: jednego dwudziestopięcio-, drugiego — piętnasto- i trzeciego — jedenastomorgowego. Kmiecy reemigranci, którzy przecież zwiedzili kawał „świata", byli „na wozie i pod wozem", nie mogli jakoś dopasować się do tej księżej sielanki. Zwłaszcza że jeden z nich, dorabiający się około roku 1907 znaczenia na terenie Kółka Rolniczego, przywlókł z Ameryki poglądy zgoła wywrotowe w sprawach... religijnych. Nie tylko przestał być wiernym synem Kościoła katolickiego, ale nawet posuwał się do kwestionowania sensu wszelkiej religii. Stał się bojowym „heretykiem" czy też „lutrem", tak go bowiem ochrzciły baby zorganizowane (a jakże) w „różańcu". Że ten niedowiarek osiągnął rozgłos przekraczający znacznie granice wsi W., świadczy fakt, iż sam ksiądz prałat z Łańcuta odwiedził go, ponawiając później kilkakrotnie swoje wizyty, które zapewne miały doprowadzić, jeżeli już nie do nawrócenia zbłąkanej owieczki, to przynajmniej do zlokalizowania tej groźnej „zarazy". Reemigranci pierwsi zaszczepiali we wsi W ideologię świeckiej, liberalnej samodzielności. Przenikając do „kółkowej" elity szerzyli tam urok kapitalizmu. Rozbudowując swoje gospodarstwa za przywiezione z Ameryki dolary, stali się apostołami kapitalistycznej przedsiębiorczości. Oni to okazali się najbardziej wrażliwi na polityczne przywileje obszarników i klerykalne patronactwo. W tej atmosferze przyjął się we wsi około roku 1908 „Przyjaciel Ludu", z którego do kmieci z W. przemówili: Stapiński i Witos. Zwłaszcza Witos zaczął sobie zyskiwać autorytet. Oto jak na przestrzeni kilku zaledwie lat kmieca czołówka wsi W., zapóźniona w roku 1904 jeszcze o ćwierć wieku, błyskawicznie podciągnęła się. Jak podskoczyła do góry klasowo — polityczna świadomość kmieci z W.!

Gdzież jednak mogła się skierować kapitalistyczna ekspansja kmieci, skoro kmiece rodziny miały duży przyrost naturalny, doprowadzający do rozdrabniania kmiecych gospodarstw. Szła ona głównie w trzech kierunkach:

Po pierwsze — kmiecie rozrastali się wszerz i w ten sposób także średniackie rodziny pochodzące z kmiecych wiązały się **w polityczne** rody, występujące solidarnie na terenie wsi i poza wsią.

Po drugie — kmiecie uintensywniali swoją gospodarkę (od niezupełnie żelaznych pługów z r. 1900 do kieratu w r. 1910, to przecież postęp olbrzymi) i kierowali ją na bardziej zyskowne tory hodowli.

Po trzecie — próbowali posyłać dzieci do szkół i w ten sposób przenikali do miasta, do drobnomieszczaństwa. Ale i tu awans ich był specyficznie galicyjski, nie podobny do analogicznych awansów na Zachodzie. Żaden nie został inżynierem i przedsiębiorcą. Nauczyciele, księża, urzędnicy, oficerowie. I tu skok do inteligencji nie tracił tradycji stanowych (inteligencja poszlachecka, „narodowa", nie — przemysłowa).

W tym okresie, tj. przed pierwszą wojną światowa, również biedota otrzymuje zastrzyki dolarowe od krewnych w Ameryce. Wśród biedoty poczyna rosnąć „mit parceli" mimo jej malenia. Jest to mit wyzwalający z feudalizmu, już liberalistyczny. Nie mając możności przejść do przemysłu biedniacy poczynają żyć ambicją **posiadania** ziemi. Tej ziemi jest w stosunku do ludności coraz mniej, mimo to czepia się jej właśnie kurczowo idea kapitalistycznej własności, bo nie ma innego wyjścia w półkolonialnej Galicji.

Historyczny pochód wsi W. z feudalizmu w kapitalizm rozpoczęli więc kmiecie. Ów „ruch we wsi" był zdecydowanie kmieco-kapitalistyczny w swej istotnej treści klasowej. Ale nie występował, rzecz jasna, pod klasowym sztandarem. Podobnie jak polityczny ruch francuskiej burżuazji w okresie Wielkiej Rewolucji (jeśli wolno tak różne skale zestawiać) głosił nie klasowe hasła, lecz **powszechną, ogólnoludzką Wolność, Równość i Braterstwo.** Ale realizacja tych powszechnych haseł dawała burżuazji klasową hegemonię.

„Bracia chłopi" — wołali Stapiński i Witos, których przemówienia i artykuły w „Przyjacielu Ludu" rozpalały serca i podniecały wyobraźnię „kółkowców" z W. To był apel do wszystkich chłopów niewątpliwie zainteresowanych w likwidacji barier feudalnych, przywilejów i hegemonii obszarnictwa i kleru, mimo utajonej walki klasowej wewnątrz samej wsi. Apel do tzw. „warstwy chłopskiej", na której obliczu kmiecie z W. wyciskali natychmiast swój klasowy stempel.

Charakterystyczny był we wsi W. odzew na rozłam w Polskim Stronnictwie Ludowym w roku 1913. Sympatie zdecydowanej większości kmieci były po stronie Witosa. Natomiast kilku z owym amerykańskim „heretykiem" na czele poparło Stapińskiego, bo w Witosie (słusznie) podejrzewali ugodowość wobec obszarników. Oni byli już bardziej zaawansowani w liberalno - kapitalistycznej ideologii i dlatego Witos wydawał im się zbyt konserwatywny. Ale dla zasiedziałych kmieci i ich rodów zubożałych do poziomu średniaków Witos był prawidłowym, następnym etapem po ks. Stojałowskim. Witos to to, co głosiła broszura Bojki. A Stapiński? Jego już ks. Stojałowski pomawiał o przewroty socjalistyczne, jego właśnie po rozłamie w roku 1913 uderzy Witos oskarżeniem o trzymanie z „socjalistami i postępowcami" i nazwie tę drogę „unurzaniem w błocie" stronnictwa. Kmiecie, którzy na przestrzeni kilkunastu lat sfolgowali dawnym stosunkom patronackim, wchodząc w liberalno-kapitalistyczną organizację produkcji, w tym układzie stanęli w walce już z samymi echami socjalizmu. Echa te niosły siłę rewolucyjną dziadom. Dopiero na tym etapie i jak na wsi W., pod hrabiowskim Łańcutem, dopiero... echa.

(c. d. n.)

Mieczysław Grad

A. Chmura

RZĄD LUBELSKI W 1918 R.

(Co pisała „Nowa Wieś" w r. 1935 o Rządzie Lubelskim w 17 rocznicę)

W 30 rocznicę Lubelskiego Rządu Ludowego przedrukowujemy ocenę radykalnej „Nowej Wsi", organu literatów ludowych z r. 1935. Jest ona zbyt jednostronna w krytyce i nazbyt krótka w uzasadnieniach, ale słuszna w głównej linii i ważna dziś dla uprzytomnienia czytelnikowi, w jakim stopniu rok 1918 nie powtórzył się w 1944 i 45 r. Na ile dojrzała do rewolucji i prowadzenia Polski do socjalizmu — klasa robotnicza i w sojuszu z nią chłopi.

W nocy z 7 na 8 listopada w roku 1918 ogłoszono w Lublinie Tymczasowy Ludowy Rząd Republiki Polskiej, na którego czele stanął Ignacy Daszyński.

„Nad skrwawioną i znękaną ludzkością wschodzi zorza pokoju i wolności. W gruzy walą się rządy kapitalistów, fabrykantów i obszarników, rządy militarnego ucisku i społecznego wyzysku mas pracujących. Wszędzie lud pracujący dochodzi do władzy".

Tymi słowami określił rząd lubelski w swej proklamacji skierowanej „do ludu polskiego, do robotników, włościan i żołnierzy polskich" ówczesne położenie polityczne.

Światowa wojna imperialistyczna dogorywała pod ciosami wielkich wstrząsów rewolucyjnych, które nie zatrzymywały się na rubieżach starej Rosji, ale przerzuciły się na Europę Środkową i kraje kolonialne. Na gruzach państwa carów zatknięty został sztandar władzy robotniczo - chłopskiej. W rok potem runęły trony pruskich Hohenzollernów i Habsburgów. Narody uciemiężone przez trzy tyranje, które niegdyś rozszarpały Polskę, zdobywały niepodległy byt. Masy pracujące Niemiec, Polski, Węgier, Austrii itd. rwały się do władzy, aby zbudować nowy, sprawiedliwy ład społeczny.

Dziś owe wielkie wydarzenia polityczne należą do historii. Lecz łączy nas z nimi nie tylko nić żywych wspomnień starszego pokolenia. Odczuwamy i rozumiemy wszyscy, że nasza współczesna rzeczywistość wywodzi się w prostej linii z burzliwego okresu 1917—1919 roku. Rozstrzygało się wtedy zagadnienie: kto kogo zwycięży, lud reakcję, czy reakcja lud? Na wschodzie reakcja została wytrzebiona z korzeniami. Lud stał się tam gospodarzem na swojej, własnej ziemi i zbiorowym wysiłkiem wykuwa dla siebie i przyszłych pokoleń nowe życie. Natomiast w krajach Europy Środkowej udało się jeszcze raz zatriumfować reakcji. Toczy się przez nie fala faszyzmu, tej najbardziej reakcyjnej dyktatury burżuazyjno-obszarniczej.

W chwili obecnej, gdy w Polsce rośnie pęd mas do walki przeciw reakcji i kapitalizmowi i coraz powszechniejsze jest wołanie w miastach i wsiach o rząd ludowy, jest na czasie przypomnienie i krytyczne oświetlenie roli lubelskiego rządu ludowego w dziejach ruchu wyzwoleńczego polskich mas pracujących.

Wielemówiącym był już sam skład osobowy rządu lubelskiego. Oto on: Tomasz Arciszewski, Ignacy Daszyński, Medart Downarowicz, Gabriel Dubiel, Marian Malinowski, Jędrzej Moraczewski, Tomasz Nocznicki, Julian Poniatowski, Edward Rydz-Śmigły, Wacław Sieroszewski, Błażej Stolarski, Stanisław Thugutt i Bronisław Ziemięcki. Pod proklamacją rządu lubelskiego widniał również podpis Wincentego Witosa, który jednak przez Polskie Biuro Korespondencyjne ogłosił, że podpis umieszczono bez jego wiedzy i że w skład tego rządu nie wchodzi.

Część członków rządu lubelskiego zajmuje dzisiaj czołowe stanowiska w obozie rządzącym, bądź z tym obozem sympatyzuje. Rydz-Śmigły jest generalnym inspektorem sił zbrojnych, Poniatowski ministrem rolnictwa, Downarowicz był wiceprezydentem Warszawy, Malinowski, Sieroszewski zasiadają w elitarnym senacie, Moraczewski jest przywódcą sanacyjnych związków zawodowych Z.Z.Z., Stolarski należy do 15 zdradzieckich posłów ludowych itd. Dubiel jeszcze wcześniej znalazł się w sanacji.

Rząd lubelski był ludowy tylko z nazwy, w swych czynach był jednak antyludowy. Stwarzał on tylko pozory, że działa w interesie mas ludowych, w rzeczywistości kopał grób dla sprawy ludowej i ratował „walące się w gruzy rządy kapitalistów, fabrykantów i obszarników, rządy militarnego ucisku i społecznego wyzysku mas pracujących" (z proklamacji).

Na ziemiach Polski powstawały wówczas żywiołowo komitety robotnicze, chłopskie i folwarczne oraz milicja ludowa. Rząd lubelski nie umacniał tych organów ludowych, nie oparł się o nie jako o demokratyczne instytucje, kóre w swym dalszym rozwoju mogły wyprzeć stary aparat okupancko-biurokratyczny, stać się zarodem i podstawą chłopsko-robotniczej władzy demokratycznej. Gruntowne przeobrażenie administracji odkładał rząd lubelski n a p ó ź n i e j, przyrzekając na papierze w proklamacji:

„po ukonstytuowaniu się ostatecznym przystąpimy natychmiast do reorganizacji na zasadach szczerze demokratycznych rad gminnych, sejmików powiatowych i samorządów miejskich, jak również organizowania po miastach i wsiach milicji ludowej"...

A więc najpierw miało nastąpić „ostateczne ukonstytuowanie się" rządu bez określenia terminu i warunków, w których ma to się stać, a potem dopiero „reorganizacja" rad gminnych itd. Nie apel do twórczej inicjatywy mas, nie wskazówka, jak n i e z w ł o c z n i e zlikwidować stary, odziedziczony po okupantach, aparat militarno-policyjny, ale obiecanki na nieokreśloną przyszłość, za którymi ukrywał się dyskretnie z a k a z samodzielnej, idącej od mas demokracji. Obietnice nie ziściły się naturalnie, a milicję zastąpiła bardzo rychło policja, która likwidowała pod przymusem komitety ludowe.

Sprawa ziemi była drugim zagadnieniem zasadniczym, którym musiał się zająć rząd. Głośne wtedy było wołanie: ziemia chłopom bez wykupu! Chłop sądził, że nadeszła chwila, w której ziszczone zostanie odwieczne jego dążenie do ziemi, z której wywłaszczyła go obszarnicza szlachta. Rozpoczęły się pierwsze próby dzielenia ziemi obszarniczej przez chłopów i robotników rolnych. Parcie chłopów do ziemi ma znaczenie nie tylko ekonomiczne. Obszarnictwo jest najbardziej reakcyjną, najbardziej pasożytniczą, najciemniejszą klasą społeczną. Radykalna, chłopska likwidacja obszarnictwa w 1918 r osłabiłaby niezmiernie cały obóz przeciwludowy, wzmocniłaby stokrotnie siły d e m o k r a c j i, dodałaby jej rozmachu i krzepkiego, nieugiętego oparcia na wsi.

Rząd lubelski przeciwstawił się najelementarniejszemu żądaniu demokratycznemu, nie dał chłopom ziemi obszarniczej bez wykupu.

Znów miały obietnice zastąpić realny czyn i uspokoić chłopów. Proklamacja głosiła:

„Na sejm ustawodawczy wniesiemy projekty następujących reform społecznych:

a) przymusowe wywłaszczenie i zniesienie wielkiej i średniej własności ziemskiej i oddanie jej w ręce ludu pracującego pod kontrolę państwa".

Ani sejm ustawodawczy, ani sejmy następne sprawy ziemi nie rozwiązały. Jest ona dziś jednym z najbardziej jątrzących zagadnień społecznych w Polsce, a sytuacja w chwili obecnej jest taka, że 40 proc. ziemi należy do wielkiej własności, że obszarnicy są dziś głównym oparciem obozu sanacyjnego, że odżywają robaczywe grzyby średniowiecznej szlachetczyzny i wszystkie jej towarzyszące zmory życia społecznego.

Zahamowanie pędu mas do ziemi obszarniczej jest w oczach ludu grzechem pierworodnym rządu lubelskiego, a głównym tytułem jego zasług wobec klas posiadających.

Rząd lubelski nie naruszył również interesów kapitału i nawet tak niezbędny, doraźny środek ukrócenia orgii wyzysku, jak konfiskata kapitałów powstałych w czasie wojny ze zbrodniczej spekulacji artykułami pierwszej potrzeby i dostaw dla wojska, został odłożony do uchwalenia przez Sejm ustawodawczy. Tak samo postąpił rząd z dążeniem robotników do kontroli nad produkcją, do opieki społecznej itd. Wszystko co dotyczyło najżywotniejszych interesów ludu, co zgniotłoby siły reakcji, a wzmogłoby siły ludu, zostało odroczone do nieokreślonej przyszłości, do sejmu ustawodawczego.

Jeżeli z wielką opieszałością odnosił się rząd lubelski do najistotniejszych żądań demokratycznych ludu, to już dużą gorliwość wykazał wobec sprawy armii.

„Organizowanie regularnej armii ludowej uważamy za jedno z najpoważniejszych naszych zadań... Tworzenie tej armii wobec nieobecności Józefa Piłsudskiego, powierzamy jego zastępcy, pułkownikowi I Brygady Legionów polskich, Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu".

Organizowanie regularnej armii, która poprzez szereg wojen wcielała w gmach państwa polskiego ziemie na wschód od Bugu i Niemna, a w 1920 r. maszerowała pod dowództwem Piłsudskiego i Rydza-Śmigłego aż hen za Dniepr — organizowanie tej armii było realnym, dotykalnym dziełem rządu lubelskiego.

Powie ktoś może: jak można zarzucać rządowi lubelskiemu niedbałość w realizowaniu demokratycznych postulatów ludu, skoro ten rząd istniał zaledwie 4 dni, nie miał więc po prostu czasu wcielić w życie swoich zamierzeń programowych, nie mógł więc praktycznie wykazać, że dochowa przysięgi, iż „sprawiedliwie ku dobru i pożytkowi ludu" będzie sprawował swą władzę państwową.

Otóż trzeba zwrócić uwagę, w jakich okolicznościach nastąpiła likwidacja rządu lubelskiego. Rząd ten uznał się od pierwszej chwili za centralny rząd całej Polski. W Lublinie miał on przebywać tylko przejściowo, aż do chwili obalenia arcyreakcyjnej Rady Regencyjnej w Warszawie, dzierżącej najwyższą władzę państwową z woli niemiecko-austriackich okupantów i przy poparciu obszarników i wielkiego przemysłu. Rząd lubelski w swej proklamacji z 7 listopada ogłosił:

„Rada Regencyjna, działająca na szkodę narodu polskiego, z dniem dzisiejszym z woli narodu polskiego przestaje istnieć. W razie gdyby Rada Regencyjna oraz rząd, przez nią stworzony, tej woli ludu polskiego nie chciały się poddać, ogłoszone będą za wyjęte spod prawa. Ściganie i ujęcie w ręce naszych władz wykonawczych będzie obowiązkiem każdego obywatela państwa polskiego".

Wydawałoby się z tych słów, że między książęco-kardynalską Radą Regencyjną (w jej skład wchodzili: arcybiskup Kakowski, książę Lubomirski i Ostrowski), a rządem lubelskim może trwać tylko nieustępliwa walka aż do upadłego. Było jednak inaczej. 11 listopada przybył do Warszawy brygadier Józef Piłsudski, zwolniony z twierdzy w Magdeburgu. Na dworcu został powitany przez regenta Lubomirskiego. Prezydent rządu lubelskiego, Daszyński, zjawił się w Warszawie i oddał swe stanowisko do dyspozycji Piłsudskiego. Jednocześnie Rada Regencyjna przekazała swą władzę dobrowolnie w ręce Józefa Piłsudskiego, uzasadniając to swoje postanowienie grożącym niebezpieczeństwem zewnętrznym i wewnętrznym, tudzież płynącą stąd koniecznością ujednostajnienia wszelkich zarządzeń wojskowych i utrzymania porządku w kraju. W dekrecie z 14 listopada podpisanym przez Józefa Piłsudskiego podkreślony jest zakaz przeprowadzenia głębokich zmian społecznych, które uchwalić może tylko Sejm Ustawodawczy.

Rząd lubelski od 11 listopada przestał istnieć. Rozwiązał się dobrowolnie ustępując miejsca nowej władzy utworzonej w porozumieniu z Radą Regencyjną, by przeciwstawić się grożącym niebezpieczeństwom wewnętrznym.

Te skromne swobody demokratyczne, jakie masy uzyskały w 1918 r. były ich własną zdobyczą, owocem ich własnych trudów i walk. Nie były one darem rządu lubelskiego, czy też następnego rządu centralnego w Warszawie. Zamiast oprzeć się bezpośrednio o najszersze warstwy pracujące, przeprowadzić głębokie zmiany gospodarcze i polityczne w interesie tych mas, ówcześni wodzowie ludu z różnych ugrupowań politycznych zbywali te masy radykalnymi frazesami, a jednocześnie konszachtowali z najczarniejszą reakcją.

Rok 1918 nie powtórzy się w Polsce. Lud nauczony doświadczeniami 17 minionych lat dąży dziś w zwartych szeregach do takiego rządu ludowego, który naprawdę urzeczywistni jego wszystkie żądania.

„Nowa Wieś" nr 6, r. 1935.

F R A S Z K A

O wsi się słyszy najwięcej bujd,
że twarzą do wsi, że rząd, że się zmieni;
a tam jak dawniej — ksiądz, dziedzic, wójt
a chłop? I owszem! U nich w kieszeni!

Stanisław Jerzy Lec

Władysław Strzemiński

REALIZM W MALARSTWIE

CZY NATURA JEST JEDNOZNACZNA I WYCZERPALNA?

„Nie dające się rozłożyć i niepodzielne pierwiastki chemiczne, których liczba wzrasta ciągle jakby na przekór jedności świata, okazują się dającymi się rozłożyć i podzielnymi" (Lenin, Dzieła—wyd. IV ros. str. 238).

„Uznanie istnienia jakichkolwiek niezmiennych pierwiastków, niezmiennej istoty rzeczy i t. d. nie jest materializmem, lecz metafizycznym, t.zn. antydialektycznym materializmem" (tamże str. 248).

Antonio Pollaiuolo (1429—1498): Portret kobiety

„Podzielność atomu, jego niewyczerpalność, zmienność wszystkich form materii i jej ruchu były zawsze podstawą materializmu dialektycznego" (tamże str. 268).

„Myśl ludzka przenika coraz głębiej od zjawiska do istoty, od istoty pierwszego — powiedzmy — rzędu do istoty drugiego rzędu i t. d. bez końca" (Lenin „Zeszyty filozoficzne" 1947 ros. str. 237).

„Istota rzeczy, czyli „Substancja" jest **także** względna", jest ona tylko wyrazem pogłębienia ludzkiego poznania przedmiotów; jeśli wczoraj pogłębienie to sięgało tylko atomu, a dziś dotarło do elektronu i eteru, to materializm dialektyczny obstaje przy czasowym, względnym, przybliżonym charakterze wszystkich tych **drogowskazów** poznania przyrody przez rozwijającą się naukę ludzką. Elektron jest w równym stopniu **niewyczerpalny** jak atom, natura jest nieskończona, ona jedna **istnieje** nieskończenie (Lenin, Dzieła T. XIV str. 139).

„Materia ginie" — znaczy to, że **ginie etap naszego dotychczasowego poznania materii**, że nasze poznanie sięga głębiej. (Tamże str. 274).

Gdzież więc tu jest miejsce na 1) **jednoznaczne „realne określenie przedmiotu** i 2) na absolut wyczerpalnej **skończonej natury?**

CZY REALIZM JEST JEDEN WIECZNY?

Realizm, wszystko jedno w jakim zakresie życia i kultury, jest zjawiskiem ukształtowanym przez rozwój historyczny. Byliśmy w błędzie, określając jeden raz na zawsze dany, niezmienny typ realizmu, obowiązujący dla wszystkich epok, **jakiś absolut realizmu.** Byłoby to sprzeczne z zasadą historycznego kształtowania się wszystkich elementów społecznych. Realizm tak samo narasta, ulega zmianom i przekształceniom w toku procesu historycznego — zmienia treść — jak zmienia się każda treść w zmienionych warunkach historycznych. Nie ma jednego absolutnego realizmu, realizmu w ogóle, lecz istnieje konkretny realizm, uwarunkowany danymi konkretnymi stosunkami historycznymi. Ten sam realizm — w innych warunkach historycznych — przestaje być metodą ujawnienia rzeczywistości stając się środkiem — jej **zakłamywania** i maskowania. To zrozumienie względnej, historycznie uwarunkowanej formy każdego konkretnego realizmu — wyjaśni nam, dlaczego rzeczywistość każdej konkretnej formacji społecznej wyraża się **tylko przez jeden** konkretny, związany z nią, przez nią uwarunkowany typ realizmu.

„Metodą dialektyczną w przeciwieństwie do metafizycznej nazywali Marks i Engels tylko metodę w socjologii, polegającą na tym, że społeczeństwo rozpatrywane jest jako żywy organizm, pozostający w ciągłym rozwoju (nie zaś jako coś mechanicznie sprzęgniętego i umożliwiającego zatem wszystkie dowolne kombinacje poszczególnych elementów społecznych); dla badania tego organizmu niezbędna jest obiektywna analiza stosunków produkcji, stanowiących daną formację społeczną, studiowanie praw jej funkcjonowania i rozwoju" (Lenin, Dzieła wybrane t. I, część I, str. 94—95).

W dużej mierze na ukształtowaniu się antyhistorycznego pojęcia realizmu w sztuce zaważyły prace niemieckich historyków sztuki z drugiej połowy XIX wieku. Realizm obrazu oceniali oni na podstawie subiektywnego **wczuwania się**, czy jest on w dostatecznej mierze realistyczny — co ostatecznie dawało się sprowadzić do innego, ukrytego pytania: czy odpowiada on historycznie uwarunkowanym kryteriom realizmu klasy, której wyrazicielem gustów estetycznych był dany profesor w danym konkretnym okresie historycznym. W ten sposób odbyło się zwykłe oszustwo historyczne. Pod szyldem jedynego i najprawdziwszego realizmu wystąpił zwykły mieszczański biedermajerowski realizm, uznany w dziesiątkach grubych tomów za realizm absolutny. Historycznie uwarunkowany i czasowo ograniczony (do swej epoki) typ realizmu wystąpił jako absolut. Ten błąd wynikał z podstawowego, idealistycznego założenia o istnieniu jednego tylko typu realizmu.

Tintoretto (1518—1594): Pietà

Przyjmując tezę materializmu dialektycznego o nieskończoności rozwoju — musimy zbadać każdy z historycznie ukształtowanych i historycznie przemijających typów realizmu, wyjaśnić jego rzeczywistą, realną bazę wzrokową, zbadać jakie składniki **rzeczywistego** widzenia weszły w jego skład — jaka jest historyczna, klasowa geneza każdego z tych typów widzenia przesądzająca o uwzględnieniu takich a nie innych zjawisk wzrokowych i o odrzuceniu innych dostrzeżeń również realnych, również wzrokowych, lecz nie objętych w danym **historycznym typie** realizmu.

Lecz ta metoda — badania każdego z historycznie ukształtowanych typów realizmu, metoda określenia ich bazy doznań wzrokowych i świadomości wzrokowej — wymagałaby badań ścisłych i dokładnego naukowego określenia każdego poszczególnego składnika świadomości wzrokowej wchodzącego w skład **widzenia** danej epoki.

Należałoby operować konkretami, dającymi się sprawdzić, należałoby **umieć widzieć**, umieć operować bogatym i różnorodnym materiałem doznań wzrokowych — a jednocześnie wiedzieć, jakie doznania wzrokowe realizuje się poprzez te, a nie inne środki wyrazu formalnego. Dopiero ten materiał empiryczny, ujęty w metodę materializmu historycznego — da nam historię rozwoju widzenia, jako wyniku przemian następujących po sobie i klasowo uzasadnionych — poszczególnych typów realizmu. Wyrażanie realnych warunków bytu odbywa się poprzez realne narastanie elementów wzrokowych, uwarunkowane przekształcaniem się stosunków produkcji.

Lecz na to się nie zdobyła społecznie uwarunkowana historia sztuki XIX wieku. I ta jej słabość również była historycznie uwarunkowana.

WIDZENIE XVI I XVII WIEKU

Na pograniczu w. XV i XVI odbyły się w malarstwie doniosłe przemiany. W obrazach poprzedniego okresu kształt każdego przedmiotu jest dokładnie obrysowany, odgraniczony i uwypuklony. Jest to widzenie, nastawione na dostrzeganie wszystkich zjawisk wzrokowych, **uwydatniających trójwymiarowy, wypukły charakter bryły każdego wyodrębnionego przedmiotu.** Każdy przedmiot występuje, jako odrębna, samodzielna jednostka. Realizm tego typu należałoby nazwać realizmem odrębnych samodzielnych przedmiotów brył.

W malarstwie XVI wieku rozpoczyna się, a w XVII w. dochodzi do rozkwitu **widzenie światłocieniowe.** Cień staje się głównym środkiem wyrazu, kształtującym przedmiot. Cień zjawia się na wszystkich przedmiotach, zacierając część konturów i podkreślając inne. Przedmiot posiada miejscami bardzo wyraźnie zaznaczoną granicę, miejscami zaś wtapia się w ciemne tło. Wszystko się wtapia i przeplata, wszystko się wynurza i zanika we wspólnej grze światłocienia. Tak ginie realizm odrębnych przedmiotów, wyraźnie wyrysowanych i dokładnie uwypuklonych trójwymiarowych brył, a na jego miejsce przychodzi realizm — już nie wyodrębnionych jednosek, lecz **wtopionych** we wspólną materię światłocienia i zależnych od światła i cienia, załamujących się na nich. Tak ginie jeden etap wzrokowego poznania świata, zastąpiony przez inny.

Zdawałoby się (dla nas, obecnie), że cień jest takim samym obiektywnym składnikiem widzenia, jak wszystkie inne, że używanie światłocienia jest czymś rozumiejącym się samo przez się, że nie ma nic naturalniejszego, niż odtwarzać na obrazie całą skomplikowaną grę światła i cienia i jego rozmaitych nasileń. Pogląd ten nie jest jednak tak „naturalnym". Został on historycznie ukształtowany na przełomie wieków XV i XVI.

Rzecz jasna — cień istniał zawsze. Lecz jeśli włączenie go w zakres świadomości wzrokowej nastąpiło na określonym etapie historycznym, świadczy to, że dopiero wówczas zaistniały warunki społeczne umożliwiające włączenie go w zakres doświadczeń wzrokowych, uznanie go za rzeczywistą realność widzenia.

Rzecz jasna — poprzedni malarze również dostrzegali istnienie cienia. Lecz ten cień zacierał kontury przedmiotów, rozbijał ich dokładnie wyrysowaną odrębność, uniemożliwiał ich wydzielenie z otoczenia. Ten cień przeczył ówcześnie pojmowanej istocie realizmu — realizmu odrębnych, niczym ze sobą nie powiązanych jednostek przedmiotowych. Stosowanie cienia (z punktu widzenia tego realizmu) odrealniało przedmioty, zacierając część ich granic i stapiając przedmiot (w cieniu)—z tłem lub innym przedmiotem. W myśl realizmu XV-wiecznego realizmem prawdziwym było **widzenie nieprzekraczalnej odrębności i oddzielności przedmiotów.** Realizmem prawdziwym było odtwarzanie **tych cech, jakie posiadał sam przedmiot — jego wymiarów, kształtu, kolorów.** Cień, który zaciera i odrealnia kształty przedmiotów, był rzeczą **przypadkową**, nie był elementem, charakteryzującym **obiektywną istotę przedmiotu.** Cień mógł padać z tej lub innej strony, mógł ukrywać te lub inne części przedmiotów. Mogło też cienia nie być wcale. Wszystko to miało nie zmieniać istoty przedmiotu, jako samodzielnej, zewsząd ograniczonej, dotykalnej i sprawdzalnej bryły. Dlatego w pojęciu realizmu XV-wiecznego nie mieścił się element cienia. Zjawisko cienia było zjawiskiem **odrealniającym**, sprzecznym z dążeniem do prawdziwego obiektywnego ówczesnego realizmu.

I jeśli później zaszły zmiany w samym określeniu istoty realizmu, jeśli zrozumiano, że rzeczywistość nie jest zbiorem istniejących obok siebie i wzajemnie niezależnych przedmiotów, lecz istnieją pomiędzy nimi stosunki i powiązania, że całość stanowi pewną **strukturę** materialno-przedmiotową — oznacza to, że w stosunkach produkcji zaszły zmiany, które znalazły swój odpowiednik w zmianach kryteriów realizmu. Widzenie rzeczywistości uległo zmianie, ponieważ sama rzeczywistość przeistoczyła się w tym czasie.

Rozkład gospodarki naturalnej, rozwój kapitału handlowego na bazie produkcji w manufakturach, ukształtowanie się dużych

Leonardo da Vinci (1425—1519): Mona Lisa

państw narodowych, wzrost miast, przejście do gospodarki folwarczno - pańszczyźnianej, splatanie się wielkiego rolnictwa z kapitałem handlowo-lichwiarskim, powstanie kampanii dla handlu zamorskiego — oto są zjawiska, jakie wpłynęły na przekształcenie kryteriów realizmu. Rozkład gospodarki naturalnej znalazł swój wyraz w rozkładzie dotychczasowej „naturalnej" jedności i ograniczoności przedmiotu namalowanego na obrazie. I rzecz charakterystyczna — malarstwo barokowe, malarstwo światłocieniowe rozwinęło się najsilniej tam, gdzie aktywność nowopowstającej młodej burżuazji była największa — w Wenecji **(Tycjan, Tintoretto, Veronese)**, w Belgii **(Rubens)** i w Niderlandach **(Rembrandt)**. Rozmach tworzącego się wczesnego kapitalizmu znalazł swój wyraz w bujności malarstwa barokowego.

To przejście od średniowiecznej zamkniętej, samowystarczalnej gospodarki naturalnej — do form wczesnokapitalistycznych, od jednostkowego zamówienia dla konkretnego klienta — do produkcji towarowej, od warsztatu cechowego — do produkcji w manufakturach, od zapłaty wyliczonej z rąk do rąk — do księgowości dużych obrotów wekslowych, od lady i kupca wędrownego — do kampanii kupieckich dla handlu zamorskiego (z własną flotą i własnym wojskiem)—te wszystkie przejścia utworzyły zmianę stosunków produkcji i umożliwiły dostrzeganie takich zjawisk wzrokowych, jakie w poprzednich stosunkach społecznych nie miały pokrycia w rzeczywistości otaczającej.

Tak, jak rozkładowi uległy poprzednie jednostki zamkniętej średniowiecznej gospodarki naturalnej — tak samo ulegia rozkładowi sama koncepcja zamkniętych w sobie i odgraniczonych jednostek przedmiotowych. Widzenie rzeczywistości uwarunkowane nową, zmienioną strukturą stosunków klasowych — wyzwoliło realność nowych składników wzrokowych. Zginęła materia malarska dawnych czasów, składająca się z odosobnionych, oddzielnych przedmiotów. Nastąpił nowy etap widzenia materii jako struktury materialno - przedmiotowej, utworzonej przez stosunki i zależności — widzenie materii nowych czasów.

Lecz i jedno i drugie widzenie było realizmem. Realizmem klasowo uwarunkowanym i nastawionym na widzenie swojej odrębnej i niepowtarzalnej epoki historycznej. Każdy z tych realizmów ukształtowany w wyniku procesu historii, stanowi część żywego, współcześnie istniejącego organizmu społecznego i nie może być mechanicznie sprzęgnięty w dowolnych kombinacjach, gdyż wówczas, zamiast wyrażać swoją rzeczywistość — da zafałszowany obraz **innej** rzeczywistości. Realizm, należy to zrozumieć—jest nie absolutem, lecz **narzędziem poznania.**

(c. d. n.)

Rembrandt (1606—1669): Kąpiąca się kobieta

Jan Baculewski

O KIERUNEK WYCHOWANIA

(Uwagi do dyskusji)

Kiedy chcemy określić zasady ideologiczne pracy naukowo - wychowawczej, musimy w pierwszym rzędzie wziąć pod uwagę **nowy etap** rozwojowy Polski Ludowej, która wchodzi na drogę budownictwa socjalistycznego. Ten moment wymaga, aby na wstępie stwierdzić, iż budownictwo socjalistyczne potrzebuje świadomości socjalistycznej i ustalenia na wszelkich drogach działania i wychowania zasad ideologicznych.

Wyliczmy najpierw te, które muszą być na tym etapie bezwzględnie już odrzucone. W pierwszym rzędzie musimy zerwać z tradycjonalizmem pedagogicznym.

1) Nie uznajemy **personalizmu**, który sieje **niewiarę w masy i postęp społeczny**, wysuwając kult **osobowości**, rozumiany jako **negacja zbiorowości**. Nie cenimy cnót, które hodować każe ta pedagogika, traktując je jako wielkie przymioty jednostek wyodrębniających się od mas i przez to izolujących się od społeczeństwa. Personalizm jest nam obcy jako koncepcja burżuazyjna i kapitalistyczna.

2) Nie wiążemy się z żadnymi teoriami **biologicznymi i eksperymentalnymi**, chociaż stoją za nimi takie autorytety pedagogiczne jak E. Claparede i M. Montessori. Wychowanie bowiem nasze nie może się ograniczać wyłącznie do opieki biologicznej i **szacunku dla niezależnego rozwoju** organicznego dziecka, **przeczy to bowiem istnieniu celowości wychowania**, a które odrzuca pedagogika eksperymentalna.

3) Wychowanie nasze nie jest również wyrazem **demoliberalnej pedagogiki** społecznej, z którą zżyło się od końca w. XIX wielu pedagogów polskich. Albowiem w fundamentach tej pedagogiki spoczywają idee **solidaryzmu społecznego**, który fałszuje obraz rzeczywistych stosunków społecznych i paczy ideę walki klas.

4) Nie przyjmujemy również **teorii grup**, jako podstawowej formy wychowania zbiorowego, nawet gdy jest ona reprezentowana przez wybitnych naszych socjologów. Teoria ta bowiem głosi, iż społeczeństwa żyją w układach odosobnionych, że **grupa istnieje po to, by wydzielić się z reszty społeczeństwa**. Przeczy to prawom **integracji społecznej** i niezgodne jest z socjologią marksistowską, która odrzuca teorię grup, ukazując **wielkie ruchy masowe**, obejmujące całe klasy społeczne, a poprzez więź i solidarność proletariatu światowego — **całą ludzkość**. My uznajemy wychowanie klasowe i poddajemy się rygorom pedagogiki socjalistycznej. Założenia jej tkwią w ogólnej teorii naukowego socjalizmu. Jest ona zgodna z ideologią klasową i praktyką socjalistyczną. Jej dyrektywy przebiegają równolegle do linii rozwojowej Polski Ludowej. Wychowanie socjalistyczne jest dla nas teorią przekształceń ideologii ludowej na proletariacką świadomość rewolucyjną; jest teorią **zadań i przysposobień** do budownictwa socjalistycznego. Kształcąc bojowników o nowy ustrój społeczny pedagogika socjalistyczna uczy socjalistycznego myślenia i wdraża do klasowych form życia.

Ogólne założenia teoretyczne określają wytyczne postępowania wychowującego i nauczającego. Pragniemy kształcić młode pokolenie jako świadome zbiorowych zadań, zdyscyplinowane, mężne i ofiarne. Ale cechy te rozumiemy jako wyraz postawy ideowej i sposób zachowania się w **określonych warunkach społecznych**, a nie zespół cnót hodowanych jako dyspozycje intelektualne i psychiczne bez społecznego i funkcjonalnego ich zdeterminowania.

Określone warunki społeczne — to sytuacja po rewolucji, którą przeprowadziła klasa robotnicza w przymierzu ze wsią, spełniając jej stuletnie marzenia — oddała ziemię w ręce chłopów — To sytuacja po rewolucji, kiedy masy drobnorolnego i średniego chłopstwa przekonały się (po 3-ch latach), że Reforma Rolna nie mogła zakończyć ich biedy i wyzysku. Odsłania się przed tymi masami wyzysk niższego i bliższego, miejscowego piętra — kapitalistów wiejskich i odsłania źródło biedy w podstawie systemu gospodarczego na wsi: w drobno-towarowej produkcji indywidualnej. Ta sytuacja, to nowy etap wiązania przez klasę robotniczą mas drobno- i średniorolnych wsi z rozwojem wielkiego przemysłu socjalistycznego, otwieranie dla nich nowych dróg do lepszego jutra i do wrastania w socjalizm.

Ta przebudowa postawi w zupełnie innej sytuacji społecznej młode pokolenie chłopskie, zamknięte dotychczas w rozdrobnionych przez dziedziczenie gospodarstwach rodzinnych lub sproletaryzowane przez brak ziemi. Stanie ono wobec zwiększenia produkcyjności rolnej i mechanizacji środków uprawy, będzie musiało podjąć się nowych zadań w zakresie przygotowania się do nowej organizacji społecznej wsi i nowej pracy. Wejście w przemysł rolny, w zawody agro- i zootechniczne, przygotowanie do funkcji techników, traktorzystów i agronomów społecznych — oto nowe funkcje i nowe zadania młodego pokolenia chłopskiego, które zostanie wyrwane z dotychczasowego zastoju wsi i pchnięte do twórczej roli przebudowy gospodarki rolnej.

Ale dlatego świadomość młodego pokolenia musi być zbudowana na naukowych podstawach, które winny wdrażać do myślącego ujmowania wszelkiej obiektywnej rzeczywistości. Wykształcenie, które dajemy, musi na poziomie szkolnym odpowiadać współczesnemu stanowi nauki i jednocześnie ukazywać i przygotowywać do społecznych konsekwencji rozwoju nauk, tj. do ich technicznych zastosowań. Wykształcenie najcelowsze to wykształcenie najbardziej poprawne naukowo i wartościowe teoretycznie a równocześnie jak najbardziej owocne społecznie.

Patrząc z tego stanowiska na działalność szkolną musimy ukazać tradycjonalistczne elementy, tkwiące w średniej szkole ogólnokształcącej, która wykazuje bierność społeczną, **nieprzydatność techniczną dla masowych potrzeb gospodarki i życia społecznego. Praktyka** organizacyjna nowej wsi musi poddać rewizji zarówno taki program jednostronnie ogólnokształcący, jak i metody wychowawcze. Błędem wychowawczym średniej szkoły był i jest niedostateczny nacisk na wychowanie przez organizacje młodzieżowe. Istniały one wprawdzie w szkołach, ale w technice wychowawczej nie odgrywały rewolucyjnej roli, jaka im przypada. Młodzieży nie możemy traktować jako tylko przedmiot zabiegów wychowawczych. Istnieje ona nie tylko w szkole. Kategorie socjologiczne wyznaczają jej konkretne miejsce w rozwoju społecznym, a praktyka socjalistyczna każe widzieć w niej olbrzymi zespół sił rewolucyjnych, spełniających określone zadania w przebudowie ustroju. Nową pedagogikę określa nowa technika wychowawcza, która nie istnieje bez podstawowej roli organizacji młodzieżowych w systemie wychowania.

Wprowadzając pojęcie nowej szkoły, musimy rozumieć ją zarówno przez nową technikę jak i specyficzną problematykę. Jednym z tych specyficznych problemów jest zagadnienie **pracy i politechnizacji wykształcenia**. Zagadnienia te w zastosowaniu do szkoły są trudne i nie znalazły dotychczas ostatecznego rozwiązania nawet w przebogatej teorii i praktyce pedagogiki radzieckiej. Nie mniej kilka spraw wydaje się całkowicie wyjaśnionych. Mianowicie:

Kształcenie polityczne można m. in. rozumieć jako kształcenie zawodowe, ale w ten sposób, jak to zostało określone przez Karola Marksa w „Krytyce programu gotajskiego", gdzie się je rozumie jako jeden z **najpotężniejszych środków przebudowy ustroju społecznego**. Pojęcie **zawodu** zbiega się tu ze znaczeniem **pracy jako źródła produktów i stosunków produkcyjnych**, określających **etapy** rozwoju gospodarczego. Nie idzie więc o kramikarstwo warsztatowe, ani mistrzowską obróbkę sztuki kamaszniczej czy stolarskiej. Idzie **o wielkie procesy produkcyjno-ekonomiczne w miastach i na wsi. Z nimi musi być przede wszystkim związane szkolnictwo zawodowe.** Praktyka organizacyjna nowej wsi winna objąć swoim zasięgiem szkoły przemysłowe, szkoły zawodowe i rolnicze, kształcące fabryczny i wiejski aktyw: dynamiczną siłę w walce o realizację budownictwa socjalistycznego.

W wychowaniu trzeba precyzować rygory techniczne. Istnieje zasadnicza różnica między wychowaniem socjalistycznym a mieszczańskim. Trzeba należycie ustawiać procesy wychowawcze, by młode pokolenie nie znalazło się na skrzyżowaniu różnych wpływów wychowawczych. Staje się to jednak konkretnym niebezpieczeństwem w tych środowiskach, gdzie niejednokrotnie postępowa postawa polityczna rodziców nie idzie w parze z socjalistycznym wychowaniem.

Z tego konfliktu wyłania się trudne zagadnienie oddziaływania wychowawczego rodziny. W pełni doceniamy twórczą i niezastąpioną rolę rodziny w pierwszym okresie wychowania dziecka. Nie chcemy ingerować w ambicję i możliwości wychowawcze rodziców.

Jednakże zasady jednolitego oddziaływania wychowawczego na młodzież wymagają wywierania wpływu na praktykę wychowawczą rodziców. Tylko na tej drodze uchronimy dziecko od kolizji, jaka istnieje między wpływem rodziny i instytucją wychowawczą. Jednym z koniecznych zadań musi **być podjęcie współpracy między domem a szkołą** celem zapewnienia wpływu na praktykę wychowawczą rodziny.

Pomoże nam w tym dojrzała sytuacja historyczna klasy robotniczej inteligenckiej i chłopskiej. Na terenie wsi wraz z rozwojem kapitalizmu rozwijał się nieubłaganie **konflikt między rodziną chłopską a parcelą**. (patrz J. A. Króla: „Przyszłość rodziny chłopskiej" Wieś—40-41). Dla wielu członków rodziny parcela już nie wystarcza, nie wystarcza taka gospodarka parcelowa. Jak i z czego mają żyć i wykarmić dzieci? Nikt inny bardziej niż rodzina chłopska nie jest w tym zainteresowany. Ciężar odpowiedzialności, jaki ją przygniata, przybliża ją coraz bardziej, po sprawdzeniach i przemyśleniach wielu środków i dróg do nas — pedagogów nowej, Ludowej Polski. Ukazujemy przyszłość dla mas młodzieży chłopskiej. Szkolimy do opanowania przez nią tej przyszłości.

Andrzej Braun

WYSPA WOŁYŃ

Wieczór tkwił zaplątany w gotyckich kościołów
ażurowe wieżyczki. Wzywano do stołu.
Po arkadach hotelu zapłakały gongi
wzdychając tylko świerki tkwiły jak posągi
tam nad brzegiem, gdzie chłopki chichotały bose
gdzie prom przewoził wozy i kmieć ostrzył kosę.
Komary srebrną rzeszą nuciły nieszpory —
Słońce jak pawie pióra gubiło kolory
na plaży. Tam zatoka. Żagle z cynamonu
rumienią się ostatnim żarem nieboskłonu.
Jak we śnie na wołyńskich łąkach pachnie siano,
które uschnąć nie może, zalewane pianą.
Milicjant uroczysty opiera o rower
pierś z odznaką pioniera. Morze lśni perłowe.
Parowiec ze Szczecina, zrośnięty na wodzie
z odwróconym odbiciem powraca jak codzień
dźwigając warkocz dymu, czarny warkocz ruski.
Już orkiestra na molo gra, migoczą chustki.
Marynarze na wiwat strzelają wśród sosen
ukraińskie piosenki nucąc śpiewnym głosem.
Wyspa jak odwrócona twarz dziewczyny w studni
wstydzi się swego piękna na lustrze zatoki.
Wołyń — szepcze latarnia — zapomnieć najtrudniej,
gdy wędrują z wspomnieniem ze wschodu obłoki.

DZIEWCZYNA

Nie zwracała uwagi, biegnąc pod kasztany
choć byłem i bogatym i dobrze ubranym —
śmiała się patrząc w kwiaty wzrokiem lunatyka
a słońce na jej rzęsach błyszczało jak mika.
Mówiłem piękne słowa drżąc, że wnet ją spłoszę
tę dziewczynę z stołówki, co zarabiała grosze
(chyba, że kradła jak inne, w co jednak ja nie wierzę).
Mogłem ją zabrać w różne piękne miejsca.
kupować rzeczy kosztowne, jak w filmie
(pozatem to jest przyjemnie mieć chłopca z lepszej sfery)
szczupłe biodra wyśnionej czekają kariery.
Gdy sprzątnęła talerze. pod fabrykę „Profit"
biegła, a chłodna duma ostrzyła jej profil
mijając niecierpliwie, gdym zastąpił drogę
tam witała farbiarza — i niknąc za rogiem
jak szprychy migotały stopy u falbany. —
Trzymając się za ręce, biegli pod kasztany.

MŁODOŚĆ

Stary fryzjer, Konstanty! Główki na wystawie.
Niemodne loki peruk oglądam ciekawie
jak w parku staroświecki z fin-de-siecle'u posąg,
dziwiąc się uczesaniu, jak on siwym włosom.
Czas mija jego zakład, zabiera klientów,
czas niby wiatr potrąca mosiężne talerze...
Lustra z chłopięcą twarzą! ileż sentymentu
budzą stare fryzjernie i śmieszni balwierze.
Konstanty miał przyjaciół. Grywał z nimi w wista
gdy wchodziłem, powszechniak, czy gimnazjalista.
Każdy ma w swoim życiu takiego fryzjera
który strzyże na zero, po męsku, a teraz
podcina włosy dziecku i najtaniej bierze.
Bądźmy uczciwi. Ci młodzi są nieuprzejmi narazie,
doliczają za puder, ziewają z drewnianą twarzą —
wspominam kitel błękitny, rzemień i rurki na gazie,
czumi kolońska, oczom tryumfy się marzą —
Stary fryzjer czesał kiedyś wybitne osoby
Smosarską i inne gwiazdy (ma nawet fotografie
a na nich słowa uznania dla kunsztu młodego fryzjera),
czas powraca jak pamięć sprzed długiej choroby,
w minione piękno sztywne peruki ubiera.
Gdy mnie goli uważnie, wspomina panią Smosarską,
potem kłania się nisko wkładając mi palto
(zawsze się tego wstydzę). Wyciąga dłoń po napiwek —
ten mu pozostał odruch z najlepszych lat młodości.

Teodor Goździkiewicz

Ilustr. Karol Baraniecki

CZTERY DNI MATEUSZA*)

1.

W cieniu kilku śliw rosnących przy płocie, oddzielającym sadek od podwórka u Gajków, leżały okrąglaki świerkowe. Były to bale zmagazynowane przy różnych okazjach, ale bez ścisłego przeznaczenia. Przy ich przypadkowej zwózce, kierowano się gospodarską zasadą wszelkiego przypadku określoną słowami „przyda się". Ale przechodziły miesiące i lata, a bale leżały: oblazły z kory, pod którą korniki potoczyły swoje korytarze w kształcie grzebieni, sczerniały na deszczach i czekały jakiegoś skutku.

Najczęściej służyły za miejsce siedzenia podczas krótkich chwil poobiedniego wypoczynku, albo niedzielnego pilnowania obejścia. Siadało się wyżej lub niżej, ale obowiązkowo z łokciami na kolanach. Tak było najwygodniej.

Tu siedział stary Gajek ze Staśkiem po obiedzie w południe i tu ich zastał Mateusz. Był nawskroś uroczysty. Ubranie jego co prawda nie odpowiadało wymogom całkowitej gali, jednak posiadało cząstki elementów oficjalnych. Do swoich bowiem nieobeszłych paseczków i białego kaszkietu z bączkiem włożył zwykłą, cajgową marynarkę. Ponad wszystko jednak najbardziej wymowna była mina, z jaką siedział, rozmawiał z gospodarzami i częstował ich machorką. Od razu można było poznać posła, osobę godną, która na chłopskie podwórko może wejść tylko w roli specjalnego wysłannika, spełniającego misję wyższego rzędu. Co do tego nie mogło być wątpliwości, a już nie wolno było jej mieć gospodarzom.

Mateusz był uroczysty, powściągliwy, mówił mało i tylko na główny temat. Żadnych tam „co słychać u was?", żadnych „co robicie?" czy „co zamierzacie robić?". Byłoby to wyraźne obniżenie jego godności poselskiej, osoby z innego, wyższego świata. Cedził słowa, kiedy mówił:

— Dziedzic tu mnie do was przysłał, osobliwie do ciebie Stasiek, żebyś tam do niego poszedł...

Był tak nadziany powagą, że zupełnie nie zareagował na słowny wybryk Staśka:

— Ja, do niego? Do dziedzica?

Mateusz palił papierosa w milczeniu i chciał dać do poznania, że mimo, iż jest foszmanem w Lipnicy u samego dziedzica Obrzyńskiego, pozwolił sobie, wobec nich na dwa stopnie karygodnego obniżenia powagi swojej funkcji: pierwsze — usiadł na balach, drugie — zapalił z nimi papierosa. Słowa zaś Gajka, noszące wszystkie cechy porywczości, skłonny był zakwalifikować jako trzeci zamach na jego osobę. O ile tamte mógł jakoś strawić, jako pochodzące od niego (sam się skazał na to), o tyle sposób wystąpienia Staśka uważał wprost za oburzający. Zmarszczywszy twarz, zwęził szpary oczne i w takim upozowaniu cech zewnętrznych cedził:

— Nie wiem... Coś ta pewnie do was ma...

Ich zainteresowanie połączone z zakłopotaniem przyjął z zamaskowaną radością. Był to niechybny znak, że taktyka jego została dobrana właściwie i wszystko jest na dobrej drodze. Cóż się ma bo z nimi ceregielować? Cóż taki Gajek — dokupujący kartofli na przednówku we dworze — jest? Ludzie na wsi są gorsi i lepsi, jak plewy i ziarno — dmuchniesz: plewy wyfruną, a ziarno zostanie. Gajek bez wątpienia nie należy do ziaren, Mateusz dobrze o tym wie. Okolicę zna jak nikt...

Stasiek był całkowicie tym zaproszeniem zaskoczony i nie domyślał się zupełnie, co by ono mogło znaczyć. Stary Gajek zaś, który przez sprawki syna miał niejedną przykrość i stratę, wietrzył w tym raczej coś niemiłego. Już tam jego synalek pewno coś zmajstrował: myślał z niepokojem. Ale skądinąd narzucało się myśli, że wobec jakiegoś przestępstwa dziedzic by go do siebie nie wołał: cóż tedy mogłoby to być? Obaj pełni rozterki zaczęli molestować rzadkiego wysłannika, co by to wszystko mogło oznaczać.

Mateusz widząc ich niepokój, a chcąc go jeszcze więcej spotęgować odpowiedział:

— Nie wiem...

Słowa jego miały jednak tę charakterystyczną barwę, która mówiła, że pod pozorem niewiedzy foszpan doskonale jest o wszystkim poinformowany, tylko jego godność i brak specjalnego upoważnienia od mocodawcy nakazuje mu trzymać język za zębami, — że wypowiedzieć swoje przypuszczenia czy ujawnić cel posłowania, wskazany jasno, może na pewnych warunkach tylko — jako wielki fawor z dziedziny ich dalekiego współżycia.

Spojrzał przelotnie po swoich rozmówcach. Młody miał twarz zagadkową, stary coś takiego w spuszczonych wąsach i minie zatroskanej twarzy, że Mateusz się uśmiechnął. Uznał, że dobrze jest, bo przecież chowa dla nich nowinę dobrą, więc niech się tam cokolwiek potrapią. Tym bardziej później się ucieszą, im bardziej teraz napędzi im stracha. Więc na ich nalegania odpowiadał:

— Jak to dziedzic... Zawsze do chłopów coś ma...

I znowu po tych słowach nałożył maskę tajemniczości, trzymając ich w napięciu.

Wreszcie gospodarze uznali, że w tym okresie walki należy im również przejść do systemu gry, w której trzeba i z ich strony coś postawić. Na początek więc postawili pochlebstwo.

— Jak to może być — zaczął z nagła natarcie stary Gajek, — że wy Mateuszu, co razem z dziedzicem jeździcie, gadacie z nim i wiadomo, że blisko z nim żyjecie — żebyście nie wiedzieli, co od nas chce? To niepodobne do wiary! Przecież wy wiecie wszystko, co się dzieje we dworze... A takiego głupstwa byście nie wiedzieli?

— Nie... Nie wiem. Dziedzic mi nie mówił.

Dopiero teraz zauważyli ścisłość jego wyrażenia: „dziedzic mi nie mówił". Nie omieszkali tego wykorzystać od ręki.

Mówi Stasiek.

— Tak, to prawda, to możliwe, że wam dziedzic nie mówił, ale przecie można wiedzieć, o co chodzi, bo można się domyśleć... Nie domyślacie się, o co idzie? Dla takiego biegłego człowieka, jak wy, to co to znaczy!... — przypochlebnie dokończył Stasiek.

Teraz dopiero Mateusz uznał za stosowne zejść z piedestału dworskiej oficjalności. Wymaganiom jego stało się zadość, więc można tym chłopom „uchylić rąbka tajemnicy" i coś nie coś powiedzieć. Wypluł koniuszek papierosa przed siebie, przydepnął go wyciągniętą nogą, dostawił ją znowu dla symetrii z drugą i zaczął powoli mówić. Wahał się, zastrzegał, domyślał tylko i cofał, ale mówił przecie wyraźne rzeczy i Gajkowie wdzięczni mu byli i za to.

— Widzicie, nie wiem na pewno, ale tak się tylko domyślam... To mówię z góry, chcecie — wierzcie, chcecie — nie wierzcie. Ale tak jest. U nas, we dworze, jak wiecie, jest nad wszystkim dziedzic, bo to jego, ale ma jeszcze rządcę od pola i pisarza od podwórza. Oto widzicie, tak jest, że pisarz dobry człowiek, ale już stary, a tu w podwórzu trza chodzić: od śpichrza do stajni, od stajni do stodoły, od stodoły do ogrodnika. I tak cały dzień w kółko. Nogi trzeba mieć dobre. A pisarz stary, już nie może nadążyć, astmę ma, zasapie się, zaślini, aż i nieraz dziedzica złości.

Przerwał na chwilę, ale już po tych słowach gospodarzom zaczęło świtać w głowie.

— Więc nie wiem na pewno, ale się domyślam, że dziedzic potrzebuje pomocnika dla starego. Tu by go trzeba wyręczyć, tu pomóc, tu pojechać, tu zarządzić... o, to — rozumiecie... Pensja byłaby jaka taka, ordynaria tak samo, a jakby się taki pomocnik wprawił w pisanie, w zarządzanie, to potem mógłby i pisarzem zostać... To się rozumie. Stary już słaby, niedługo pochodzi i albo umrze albo go zwolnią. Nie wiadomo jak długo pociągnie... Robota jest ciężka i trzeba do niej dobrego zdrowia. A Stasiek chodzić może — dodał z uznaniem.

Mateusz pozbył się tajemnicy i razem z nią sztywnej, oficjalnej miny.

— Tylko jakby co z tego było — rzekł dalej — to by trzeba się było starać, zabiegać, bo przecież dworskie podwórko to nie chłopskie.

W słowach Mateusza brzmi surowość, jak przystało na człowieka, który posiadł zdolność relatywnego widzenia wartości tego świata — świata, który jest niedoskonały.

2.

Mateusz odwiózł dzisiaj pana na zebranie, wysadził przed spółdzielnią, a dowiedziawszy się, że ma na niego nie czekać, zawrócił brykę, przesiadł się na drugie, uroczyste siedzenie, zdjął ciężką, ceratową czapkę, otarł czoło i poczuł się swobodniejszy.

Puścił konie luźno, bo było gorąco. Lubił ten czas — takiego beztroskiego powrotu. Poczucie zupełnego braku kontroli upajało go nie na żarty. Rozwalił się na siedzeniu, ręce rozkrzyżował wzdłuż poręczy i czuł, że w taki upał jechać bryczką po drodze nie należy do rzeczy najgorszych.

Minął ostatnie domki Dorzecza, minął pola i znalazł się na grobelce, która między łąkami prowadziła do mostu. Najchętniej by się wykąpał, ale obawa pozostawienia koni z bryką na drodze bez dozoru okazała się silniejsza, niż chęć obmycia spoconego ciała wodą. Jeszcze gorzej by było, gdyby zjechał z drogi i konie zatrzymał w chłopskiej łące.

A więc nic z tego — nie zatrzyma się nigdzie — zatem mimo wszystko wróci i jeszcze musi napewno dzisiaj jechać na pole po koniczynę dla źrebaków. A tak się świetnie zapowiadało z tym wyjazdem! Pisarz to widział i najprawdopodobniej obarczyłby przywózką kogoś oderwanego od innej roboty.

Leniwie medytując o tych sprawach wjechał między kępy wiklin obrastających grobelkę, która prowadziła prosto na most. Więc przejedzie ten most — medytował — tamtą grobelkę pastwiska, tamto pole, a potem już dworskie...

— Mateuszu! Mateuszu!

Spojrzał Mateusz wzdłuż rzeki w lewo: od zakrętu szedł ku niemu Spychała. Mateusz nie lubił tego chłopa. Ślepy na jedno oko, z szeroką blizną na policzku, był zawsze brudny, rzadko kiedy ogolony i zawsze obdarty. Wywierał na niego przykre wrażenie.

Miał mu coś odkrzyknąć i jechać dalej, ale porównawszy w myśli ten swój wczesny powrót i konieczne roboty w podwórzu z postaniem tu nad rzeką, choćby tylko ze Spychałą, wybrał to drugie. Niech będzie, co chce — woli już tego Spychałę, niż dworskie podwórko. Tam jeszcze goręcej, a robić trzeba.

Wstrzymał konie, Spychała doszedł, przywitali się.

— Mateuszu — zaczął ślepy rybak — może rybkę? co? Mam ładną rapę...

Mateusz wiedział, że tam żadnej rapy nie ma, najwyżej trochę bielicy, no, ale to byłoby za mało na powód do zatrzymania go. Wiedział, że za tym wszystkim chodzi o co innego, ale zapytał:

— Ile za tę rapę?

— Złotówkę... bardzo ładna naprawdę rapa — wyrzekł szybko Spychała.

— Ile? Złotówkę? Jak ja groszem nie śmierdzę? Coś się drożycie?

Spychała powtórzył swoje:

— Bardzo ładna rapa... bardzo ładna.... Pokazać?

Coś ten Spychała nadto przyciska go do ściany. A może naprawdę co ma? Mateusz zwątpił w prawdziwość swoich przewidywań. Przecież nie kupi — dopuści do pokazania i co z tego? Bądź co bądź, chociaż ma i w takim wypadku wiele dróg odwrotu, będzie cokolwiek skompromitowany. Patrzy w jedno oko rybaka, w bliznę ściągającą jego policzek i powoli medytuje, czy za tym wszystkim jest jeszcze co innego, czy nie jest?

— Nie... nie. Nie mam pieniędzy! — broni się już serio.

Więc Spychała wyraża żal z tego powodu, że on, Mateusz, nie chce kupić takiej ładnej rapy i milknie na chwilę, jakby zbierał myśl po tej niefortunnej propozycji, a Mateusz patrzy po nim. Rybak ma tę samą lnianą koszulę popstrzoną przez muchy i pchły, na niej podartą kamizelkę, a na nogach spodnie zwinięte w pół kolan. Stopy wiecznie ubrudzone w mule rzecznym zachowały wilgotność nabytą w przybrzeżnym zielsku. Stara, wysłużona cyklistówka przewiesza mu się na jedno ucho na znak zupełnego bezkrólewia w stanie jego garderoby.

— Machorkę macie?

Spychała zapytał o to dość niespodzianie, ale i tak Mateusz przecież wiedział, że w tym wszystkim o nią chodziło — cała gra była po to tylko. — Więc docenia swoją rolę obdzielacza, wolno, bez pośpiechu mówi, jakby celowo tamtego skazując na mękę niepewności:

— Machorkę, mówicie? — robi długą pauzę — mam... — kończy nareszcie.

— Dajcie zapalić! — słychać już gorączkę narkomana w głosie Spychały.

Ale Mateuszowi to za mało. Co to znaczy tak łapu-capu? Rybak musi mu zapłacić. Ale czym? Co on ma do zapłaty? W stosunku do niego, pańskiego foszpana, Spychała jest niczym. Więc niech mu przynajmniej zapłaci niecierpliwością. Drażni zatem tamtego swoim spokojem, swoim odwlekaniem:

— Eee, sam mam mało. Może na jednego papierosa...

— Dajcie, dajcie!

Mateusz widzi, że blade wargi Spychały latają jakimś żałosnym skurczem, jak u dziecka, któremu się na płacz zbiera — dalej już nie bawi się. Zdejmując ręce z oparcia, wyciąga z lewej kieszeni pudełko po paście „Dobrolin" razem z książeczką bibułki, odsupłuje okładkę, dmucha w całość, oddziela jeden zwitek i wyrywa go palcami. Potem te same ceregiele stroi z pudełkiem od machorki. Każdy ruch przy otwieraniu, samo nabranie szczypty tytoniu, ulokowanie go w żłobku ze zgiętej bibułki i skręcenie w wałek łącznie z poślinieniem — są to ruchy wystudiowane do najdrobniejszego szczegółu dzięki powtarzaniu ich niezliczoną ilość razy od wczesnej, chłopięcej młodości.

Potem to samo robią drżące ręce Spychały

— Bibułka nie „Społem"? — pyta rybak.

— Nie, „Solali". — wyjaśnia Mateusz — „Społem" za rzadka.

— Jaka? — nie dowierza sobie Spychała.

— Za rzadka — powtarza wyrozumiale Mateusz — ciągniesz, ciągniesz i nic z tego. Wszystko ucieka bokiem. Ja wiem, na pewno.

— A może — zachwiał się we własnych przekonaniach Spychała, nie wypadało mu bowiem znowu tak twardo przy swoim obstawać: jeśli korzystasz z kogoś, to musisz schować własne trzy grosze.

— Gdzie kupujecie? — zagadał.

— W Trawniczkach. Tam w sklepie wszyscy od nas kupują, bo tam bliżej. W niedzielę się co prawda chodzi do kościoła do was, ale spółdzielnia wtedy zamknięta. Też trzeba iść do prywatnego, — tłumaczył Mateusz — i co za różnica? Zresztą wy na dworaków patrzelibyśta krzywo u siebie... Ile kosztuje u was książeczka bibułki?

— Pięć groszy — objaśnił Spychała.

— O, a u nas sześć...

Mateusz się lekko zastanowił. Co on, ten rybak, mówił? Jeżeli prawdę powiedział, to każde pięć książeczek dają jedną darmo? Niemożliwe!

— Ile kartek? — zapytał, aby czymkolwiek osłabić pozycję przeciwnika.

— Dwadzieścia pięć... — zapewnił go uroczyście rybak.

— I u nas dwadzieścia pięć — a po chwili korzystając z okazji postawił na swoim — tylko, że wasza rzadka... O, to jest, widzicie, ważne!

Konie tupią kopytami, szastają ogonami na boki i między nogi, podrzucają łbami: gonią czerwcowe, namolne bąki. Szare, zwinne owady atakują wszędzie: grzbiet, brzuch, szyje koni, które się niecierpliwią. Mateusz uznaje, że trzeba jednak jechać. Koniec końcem stracił jednego papierosa. Więc potrząsa lejcami i rusza powoli zostawiając nad rzeką samego Spychałę.

Ten poczeka zmroku. Obejrzy jeszcze wędki, o tej porze bierze szczupak na żywca, a potem w ciemności ruszy. Widział gdzieś taką ładną wykę przy łące...

Mateusz wałęsający się po podwórzu bez wyraźnej roboty natknął się na administratora. Dworska wielkość — po odważeniu dwu metrów ziemniaków Cieślikowi — sprawdzała podwórko i nie omieszkała zaczepić marnującą się siłę roboczą Lipnicy:

— Mateusz by mógł zaprząc cugowe i zwozić w małych drabinkach tę białą koniczynę spod chłopskich działów... Nie czekać na fornali..

— Jakże ja pojadę, panie rządco, po koniczynę — broni się Mateusz — jak muszę wysmarować na jutro szory i brykę, bo mamy jechać z panem dziedzicem do miasta na stację od samego rana... Muszę jedną robotę wpierw skończyć!

Żadnego polecenia i żadnego wyjazdu nie było, ale Mateusz otrzymanie jakiegokolwiek rozkazu niżej dziedzica poczytywał sobie za najwyższą obelgę. Uznawał jedynie pośrednictwo tych ludzi. Za każdy raz musieli się powoływać na samego Obrzyńskiego. Mówił taki na przykład pisarz:

— Mateuszu, pan dziedzic polecił, żebyście... — i tak dalej.

O, to było dopuszczalne i jeszcze strawne. Inne rzeczy — stanowczo nie. Sprzeciwiały się jego pojęciom „mocnego siodła" w lipnickim dworze, jakim się cieszył. Zarówno samo zjawisko jak i jego określenie zostały Mateuszowi z tych czasów, kiedy był na Lipnicę - majątek delegatem z powiatowego związku zawodowego robotników rolnych. Po powrocie z więzienia wziął go wtedy stary pan Obrzyński do siebie do gabinetu i po ojcowsku zagadał:

— Słuchaj, Mateusz: znam ciebie od dziecka, znam twojego ojca jeszcze. Całe życie u mnie przesłużył i marnego słowa sobie nie powiedzieliśmy. Ciebie pamiętam od tylego... o!

Tu stary pan Obrzyński pokazał nad posadzką rozczapierzoną dłonią pewną wysokość, która miała obrazować niski wzrost ówczesnego Mateusza. Było to bardzo wzruszające. I Mateusz czuł się poruszony. Nie umiał płakać, bo już dawno nie płakał, ale chyba miał łzy w oczach. Odgadując swój stan uczuć chrząknął znacząco i zapobiegawczo.

— Więc ci sie pytam — ciągnął starszy siwy pan — coś na tym zarobił, żeś odmawiał chłopów od roboty z zegarkiem w ręku? Co? Powiem ci szczerze: baty. I co jeszcze? Powiem ci dalej: więzienie. Tyle zarobiłeś, żeś ich wtedy namawiał do strajku. I kogo? kogo? Takich ludzi: oni poszli do roboty, a ty do kozy... O, tyle zarobiłeś. Pies z kulawą nogą się nie upomniał za tobą. A ty?

Wspomina te czasy Mateusz i przeżywa gorycz: wstydu, zawodu, bólu. Był wtedy na wielkiej pochyłości, marzył o samobójstwie, ale stary Obrzyński okazał się prawdziwym ojcem i opiekunem.

— Widzisz, poznaj mnie. Tyś mi podmawiał fornali, podżegałeś ich do strajków, kazałeś im robić według zegarka, chodziłeś na skargę do powiatu, siedziałeś w więzieniu — powinienem cię za to wszystko wyrzucić. Ale ja tego nie zrobię. Ja cię przyjmuję, będziesz u mnie pracował, będziesz miał u mnie „mocne siodło", ale już nigdy... nigdy więcej... rozumiesz?

---

*) Z powieści pt. „Lipnicki świat", która ukaże się w druku nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza", w Warszawie.

rolnego, albo marzenie o mieście, z jego fabrykami, czy z drobnomieszczańskim, wyższym cywilizacyjnie stylem życia. Czysty mit ziemi zachował się tylko u naturalistów mieszczańskich, burżuazyjnych anty-urbanistów i moralistów. Typowym i wpływowym przedstawicielem tego kierunku był Bertrand Russel, obrońca natury przeciwko cywilizacji technicznej.

Analogicznie i u Ożoga ten mit ziemi wyrażony jest w formie niemal parodystycznej. „Ziemia wychowuje i uczy", bez zrozumienia ziemi nie można być poetą. Poetom ziemi przeciwstawia Ożóg poetów „kawiarnianego stolika". Ci pierwsi tylko są społeczni i moralni.

Nie zamierzamy dowodzić absurdalności „totalizmu chłopskiego" Ożoga. Ona jest zbyt jasna. Natomiast jego postawa krytycyzmu wobec tego, „co życie przynosi w swojej torbie", jego relatywizm społeczny i teoria niespodzianki („Świat to dla nas ustawiczna niespodzianka") — są już wymierzone wprost w marksizm a nawet w ustrój: „Do szkoły chodź, po mieście patrz naokoło, profesorów słuchaj, ale kuferek zamykaj i swoje sobie myśl".

Dla tych, którzy wierzą w możliwość naukowej wiedzy o świecie i życiu społecznym, którzy więc mają kult dla myśli systemowej, uporządkowanej, którzy nie uznają antynomii między światem praktycznego działania, a własną myślą, rozumowanie Ożoga jest nie tylko błędne, jest niemoralne. „Kuferek zamykaj i swoje sobie myśl" — to zasada na czasy terroru, okupacji i konspiracji, a nie ustroju robotników i chłopów, do których zalicza się Ożóg, ustroju, w którym ze względu na swoje chłopskie pochodzenie czuje się wraz z całym autentyzmem lekceważony i prześladowany.

Jeśli Ożóg nie zgadza się z nami, nie zgadza się z rzeczywistością społeczną, niech stoi po przeciwnej stronie, niech walczy. Przybieranie jednak maski zasadniczego godzenia się z marksizmem, po to, aby się odciąć od niego w praktyce, jest walką przewrotną.

A przede wszystkim przestańcie się stroić, chłopscy poeci „spod dzikiej gruszki" w ludowe sukmany, obryzgane błotem pędzącego wozu historii. Bo wasz przedwojenny „totalizm chłopski" to była — zwyczajnie — aprobata rewolucji tylko i wyłącznie burżuazyjnej, stawianie na wieś idącą pod dyktaturą kułaków i kapitalistów wiejskich. Postawił tę zasadę agraryzm, odcinając teoretycznie „całą wieś" od klasy robotniczej. Praktycznie realizował ją Mikołajczyk w „partii dla wszystkich", która miała być podstawą „demokracji drobnomieszczańskiej", a drobnomieszczaństwo (wraz z kułakami) miało z kolei powierzyć taką ojczyznę imperializmowi anglosaskiemu. Miało — znaczy to — i — musiało.

Bo wasz powojenny relatywizm, uznawanie wszystkiego, co się dzieje w Polsce, za względne, ostrzem swym zwraca się przeciw biedocie wiejskiej, to znaczy podstawowej masie wsi, wzmaga wahania średniaka i odstrasza go od jedności biedoty i jedności jednych i drugich z klasą robotniczą. Z klasą robotniczą, której rewolucja dała chłopu ziemię obszarniczą, której rewolucja wyzwoliła gospodarczo, tym samym politycznie Polskę z niewoli kapitalizmu imperialnego, której to klasy robotniczej sojusz ze wsią zacieśnia się coraz mocniej i coraz wyraźniej, ze wsią wyzyskiwaną kapitalistycznie, przeciw tym na wsi i tym w mieście, którzy jeszcze wyzyskują, przeciw systemowi kapitalistycznemu, jaki w ich praktyce utrzymuje się jeszcze hamując rozwój lepszej, a wspólnej, przyszłości całego świata pracy w Polsce.

Zaiste, od „totalizmu chłopskiego", do względności świata jako niespodzianki — to droga do przyczółka wstecznictwa... „dzikiej gruszki".

Paulina Czyżowa

ADMINISTRACJA TYG. SPOŁ. - LIT. „WIEŚ" PRZYPOMINA O WPŁACIE ZALEGŁEJ PRENUMERATY ZA ROK 1948.

ADMINISTRACJA

Zdzisław Ochęduszko

DROGI DO MARKSIZMU

Pisze się dużo i więcej jeszcze mówi o konieczności odnowienia naszej humanistyki, o potrzebie zaznajomienia z bogatymi osiągnięciami nauki sowieckiej: medycyny, agrotechniki, biologii, o poparciu przez nasze władze oświatowe pracowników umysłowych-marksistów, o tzw. „szkoleniu kadr"... Ale — rzecz znamienna — ten właśnie, tak istotny podręcznikowy „odcinek" (żeby użyć modnego słowa) zostaje całkiem zaniedbany w programie miesiąca polsko-radzieckiej wymiany kulturalnej. Co więcej: **leży odłogiem także przez pozostałe 11 miesięcy roku...** I tak od czterech lat. Czas mija, dzieci rosną, młodzież dojrzewa, uczy się... — Czego się uczy?

W każdym ośrodku uniwersyteckim znaleźć można kilka, jeśli nie kilkanaście, wydanych po wojnie skryptów przestarzałych z punktu widzenia współczesnej nauki i zacofanych z punktu widzenia nowoczesnej metodologii. Przy każdej też bez mała katedrze humanistycznej znajduje się wykaz obowiązującej studenta lektury, zawierający anachroniczne prace naukowe, wydawnictwa zaś wstecznych ideologicznie i przestarzałych metodycznie dzieł firmują najpoważniejsze naukowe instytucje.

Dostatecznie wiele tych płodów zasuszonej wiedzy nałyka się młodzież akademicka w ciągu kilku lat studiów. — **A skutki?** — Widoczne jak na dłoni.

Adam Ważyk w ciekawym artykule „Kilka słów o metodzie" („Kuźnica" nr 39, s. 1) stwierdza z przekąsem, że „w ciągu trzech lat **nie wpłynęły w publicystyce literackiej nowe nazwiska wykształcone na marksizmie".** Spotykamy natomiast — według niego — „wielu młodych krytyków wkładających dużo zapału w rozważania socjologiczne".

Można by najpierw kwestionować to „wielu", skoro młodych socjologizujących krytyków da się policzyć na palcach obu rąk — Ale mniejsza z tym! Można też odesłać Ważyka do obrad zakończonego przed niewieloma dniami III zjazdu polonistów, aby tam przekonał się o słuszności — czy raczej niesłuszności swej tezy. Ale i to nie jest w tej chwili najważniejsze. — Przede wszystkim nie można zgodzić się na **zdziwienie czy oburzenie** Ważyka jeśli chodzi o meritum sprawy.

Jest grupka krytyków - socjologów? No tak, ale robił dla nich przez dwa lata wykłady prof. Chałasiński, chuchał i dmuchał na nich Kott, brał ich pod opiekuńcze skrzydełka **sam** Żółkiewski! Brała „Wieś".

Nie ma — jak twierdzi Ważyk — krytyków-marksistów? A skądże być mają? Z czterech czy pięciu przełożonych na polski język artykułów świętego Łukacza? Z jednego lub dwu fragmentów Winogradowa (w nieświetnym zresztą tłumaczeniu?). — Metoda i umiejętność jej stosowania nie rodzą się z dnia na dzień. Jedna jaskółka nie czyni wiosny. Już sam przebieg zjazdu polonistów dowodzi, że jak na istniejące obiektywne warunki — **młodzi zrobili niemało.**

Nie oni też muszą uderzyć się w piersi. Nie oni zasypiali gruszki w popiele! Winne są tu braki w planowej gospodarce organizacji nauki.

Są gdzieś — nie tak daleko nawet — doświadczenia uczonych radzieckich, są podręczniki, rozprawy, wyniki pracy wielu lat i pokoleń. Korzystają z nich z powodzeniem setki tysięcy studentów radzieckich, gdy dla naszych drukuje się wciąż jeszcze tomy metafizycznej „Nauki Polskiej", urągającej pojęciu nauki i wydaje broszurki prof. Białobrzeskiego, nie wiadomo dla jakich zalet zalecone przez Ministerstwo Oświaty do użytku szkolnego.

Są też gdzieś, oczywiście — trochę dalej, lecz jeszcze w naszym zasięgu — francuskie prace z marksistowskiej teorii kultury, ale nasi liczni referenci nauki, kultury, prasy i propagandy, żywieni za ciężkie państwowe pieniądze w podupadającej „stolicy świata", przysyłają tylko tuzinkowe wiersze i kilometrowe artykuły o Sartrze, którego znamy raptem dwie sztuczki (o dwie za dużo), ale o którym czytaliśmy już ze trzydzieści nudnych artykułów Gdzie proporcja, panowie? Bokiem wychodzi nam Sartre, z którym wystarczająco chyba „załatwił się" Ważyk w „Kuźnicy" przed rokiem — a o pracach z marksistowskiej teorii kultury śnimy po nocach jak o zakazanych jabłkach.

Będzie tak dopóty, dopóki dobra wola młodych napotykać będzie tylko na dobre chęci — i to ich własne. Dopóki wielkie wołanie o książki rosyjskie, francuskie — wszystko jedno zresztą jakie, byle dobre, postępowe, marksistowskie — wołanie o przekłady najcelniejszych podręczników i prac radzieckich będzie głosem wołających na puszczy.

Jerzy Smutny

„P O K O L E N I E"

22 lipca bieżącego roku, w 4 Rocznicę Manifestu Lipcowego ukazał się pierwszy numer „Pokolenia", czołowego dwutygodnika Związku Młodzieży Polskiej.

Sytuacja na odcinku młodzieżowym postawiła przed pismem szereg ważnych i odpowiedzialnych zadań do spełnienia.

Nowopowstający Związek Młodzieży Polskiej musi wykonać w pierwszym etapie olbrzymią robotę jednoczenia poszczególnych organizacji w terenie. Należało się spodziewać, że akcję zjednoczeniową prowadzoną na szczeblu wojewódzkim, powiatowym i gminnym wesprze w poważnym stopniu Naczelny Organ tworzącego się ZMP. Jest przecież jasne, że centralne pismo młodzieżowe powinno choć w części usuwać trudności ideologiczne, z którymi spotykał się i nadal jeszcze spotyka młody aktywista prowadzący pracę zjednoczeniową w terenie. Z faktu stworzenia jednej organizacji młodzieżowej nie wynika bynajmniej, że znikła potrzeba pisma instruującego działalność poszczególnych jej ogniw. Wprost przeciwnie — prowadzenie pracy instruktywnej poprzez pismo jest daleko potrzebniejsze teraz, niż przed zjednoczeniem.

Młody ZMP-owiec, szczególnie aktywista, musi widzieć jak funkcjonują poszczególne ogniwa organizacji. Chodzi jednak jeszcze o coś więcej. „Pokolenie" winno zorganizować nie tylko sprawnie funkcjonującą sieć korespondentów terenowych, ale też prowadzić na swoich łamach wymiany doświadczeń nabywanych przez poszczególne ośrodki organizacyjne.

I jeszcze jedna uwaga. Związek Młodzieży Polskiej jest częścią Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, jest częścią wielkiego antyimperialistycznego frontu. Wynika z tego faktu konieczność utrzymywania ZMP-u w stałej łączności z resztą demokratycznej młodzieży całego świata. Pod tym względem rola czołowego pisma młodego pokolenia jest szczególnie ważna.

Takie postulaty pod adresem „Pokolenia" wysuwane były i są wysuwane przez członków Związku Młodzieży Polskiej.

Zastanówmy się teraz, czy Komitet Redakcyjny miał warunki na wykonanie tych schematycznie i tylko w części wyznaczonych zadań. Wydaje się, że tak. Przede wszystkim dysponował dorobkiem i doświadczeniem pism dawnych organizacji młodzieżowych.

„Wici" i „Wolna Wiciowa Gromada", zwłaszcza w ostatnim okresie swego istnienia, stanowią dobry wzór pism — instruktarzy dla chłopskich aktywistów młodzieżowych. Obydwa te pisma były, jak wiadomo, ściśle powiązane z terenem siecią sprawnie funkcjonujących korespondentów. Podobnie na odcinku miejskim — „Walka Młodych", która utrzymywała ponadto żywy kontakt z zagranicznymi ośrodkami młodzieży demokratycznej.

„Pokolenie" miało więc warunki na zgromadzenie w gronie najbliższych współpracowników — rozproszonych po dawnych pismach piór młodzieżowych i co więcej — mogło wykorzystać osiągnięcia tych pism.

Tymczasem po przeczytaniu 9 numerów „Pokolenia", jakie dotąd wyszły, nasuwa się wniosek, że stało się tak tylko w części.

Pierwszy numer pisma ukazał się w dwa dni po wrocławskim kongresie zjednoczeniowym. Wypełniły go zapowiedzi wielkiej pracy nad łączeniem dawnych organizacji młodzieżowych, oświadczenia przewodniczących dawnych „Wici", ZWM-u i TUR-u i deklaracja ideowo-programowa ZMP. Równocześnie ruszyła zjednoczeniowa robota w terenie. Ale tej niełatwej przecież i odpowiedzialnej pracy „Pokolenie" z pomocą nie poszło.

Młody, zapracowany i często niedoświadczony aktywista z terenu daremnie szuka w następnych numerach wskazówek dla akcji zjednoczeniowej. Jasne jest, że instrukcje rozchodzą się przede wszystkim drogą organizacyjną. Ale w takim razie „Pokolenie" powinno być miejscem, z którego widziało by się wyraźnie oddziaływanie i zasięg tych instrukcji. Młody aktywista nie znajduje także oparcia ideologicznego w piśmie. Hasła — „budujemy radosną przyszłość", „kroczymy w pierwszych szeregach", owe skróty — mają zapewne znaczenie na uroczystych akademiach, ale w praktycznej działalności terenowej potrzebne są konkretnie wypracowane wzory oddziaływania społeczno politycznego. „Pokolenie" zrezygnowało jednak z funkcji instruktarza koniecznego dla nowo powstającego Związku Młodzieży Polskiej. „List otwarty do koła ZMP" — Mieczysława Grada stanowi doskonały wzór wyjaśnienia członkom zjednoczonej organizacji młodzieżowej ich bieżących zadań. Ale jest to jeden jedyny wyjątek na przestrzeni 9 numerów.

Na podstawie lektury czołowego pisma Z.M.P. nie może odtworzyć sobie nawet uważny czytelnik, jak właściwie funkcjonują terenowe koła i zarządy. „Pokolenie" nie ma stałych, rozrzuconych po całym kraju, korespondentów. W piśmie nie słychać głosów z terenu, nie widać wymiany doświadczeń, nie pojawiają się także tematy do dyskusji, brak projektów mogących posunąć organizację w jej rozwoju. Pewno, że cenne informacje z życia Z.M.P. na prowincji zawiera list Jana Dąbka — instruktora, ale znowu jest to jedyny wypadek na przestrzeni 9 numerów pisma.

Owszem, bogato reprezentowany jest dział międzynarodowych wydarzeń politycznych. Odnosi się wrażenie, że Komitet Redakcyjny wie znacznie więcej co dzieje się w Vietnamie niż w prowincjonalnym kole Związku Młodzieży Polskiej. Jest to jednak tylko w części pocieszające, ponieważ tę samą robotę wykonują właściwie wszystkie dzienniki w kraju.

Andrzej Wróblewski

JESZCZE W SPRAWIE SZKÓŁ PLASTYCZNYCH

Obecne wyższe szkolnictwo artystyczne stoi pod znakiem kapizmu. Jest to polska odmiana francuskiego impresjonizmu w jeo formie schyłkowej. Genealogia jest więc niepokojąca. Analiza twórczości kapistów prowadzi do wniosków krytycznych. Najpierw (1), doktryna ich jest czystym formalizmem: zadaniem artysty jest wyrażenie przestrzennych i światłocieniowych elementów rzeczywistości — barwą, przy zachowaniu zasadniczej dekoracji płótna. Następnie (2), metoda pracy budzi zarzut aspołeczności: malarz eliminuje wszystko, co nie wchodzi bezpośrednio w zakres doktryny, dla precyzji swej pracy analitycznej. Dezaktualizuje obraz oderwaniem go od rzeczywistości i nie uwzględnia, w swych kolorystycznych kombinacjach, potrzeb odbiorcy. Wreszcie wymieniony formalizm doktryny (1) i aspołeczna metoda pracy (2), powodują z kolei niezdolność do wypełniania konkretnych zamówień społecznych (3), — i do wzbudzenia jakiegokolwiek oddźwięku w społeczeństwie. — Salony związkowe z przewagą malarstwa kapitalistycznego budzą tylko pesymistyczne refleksje o nieprzydatności „sztalugowców" w dzisiejszym społeczeństwie.

Akademia jako forma wyższej uczelni artystycznej jest obciążona dziedzicznie konserwatyzmem. Opiera się na następującej koncepcji szkolenia malarza-twórcy: Młody i uzdolniony student powinien poznać dobrze sztukę dojrzałej generacji. Z jednej strony, nauczy się dyscypliny pracy, która w każdej epoce jest ta sama, z drugiej, w twórczości swych profesorów znajdzie punkt oparcia dla własnego rozwoju, przez co zostanie zachowana logicznie ewolucja szkół malarskich.

Powyższa koncepcja mogła być słuszna w okresie stabilizacji społeczeństw lub klas, którym sztuka służyła. Mogła być słuszna w czasach społecznej izolacji sztuki i jej zupełnie autonomicznego rozwoju. Malarstwo w społeczeństwie dzisiejszym jest jednym ze środków wychowawczych i, narówni z literaturą, muzyką i teatrem, czerpie swój materiał i określa swe cele na podstawie życia społeczeństwa, któremu służy. Kształcenie artysty nie może polegać tylko na wtajemniczeniu go w sztukę, która właśnie osiągnęła swój punkt szczytowy i stała się akademizmem, a to z następujących powodów: rozwój sztuki jest wyrazem rozwoju społeczeństwa a nie ewolucją oderwaną; sztukę nową determinuje nie przestarzała sztuka poprzedniej epoki, lecz nowy kontekst społeczny epoki dzisiejszej; w naszej sytuacji sztuką, która doszła do punktu szczytowego, jest kapizm, kierunek, ukształtowany w okresie międzywojennym, i, jak próbowałem wykazać, z gruntu aspołeczny.

Akademia powinna dziś spełniać, oprócz swej tradycyjnej roli „wtajemniczania", obowiązki narzucone jej przez potrzeby chwili: powinna potęgować kontakt studenta ze społeczeństwem, uczyć go włączania życia społeczeństwa w zakres zainteresowań artystycznych. Akademia powinna być instytucją, ułatwiającą studentowi kontakt z wszelką sztuką, najstarszą i najnowszą. Powinna popierać eksperymenty, stwarzać jak najbogatsze środowisko koleżeńskie, uczyć wcześnie odpowiedzialnych wystąpień publicznych. Nie czuję się zresztą na siłach do podania choćby przybliżonego wykazu rzeczy, które by powinny być zmienione. Niniejszy artykuł ma służyć raczej do postawienia sprawy reformy Akademii na porządku dziennym. Sam program tej reformy, to dopiero przyszłe zadanie czynników rządowych i pedagogicznych z jednej strony, a samych studentów (zwłaszcza ich bardziej uświadomionej części, zrzeszonej w ZAMP i kołach artystycznych) — z drugiej strony.

Ponowny wybór Trumana

Nader szybko sprawdziły się słowa Stalina, że imperialiści pragną wojny, ale nie mogą jej prowokować, gdyż narody są przeciwne wojnie. W Ameryce podżegacze wojenni od dwóch mniej więcej lat prowadzą intensywną propagandę wojenną. Straszą naród groźbą jakiejś obcej inwazji. Kłamią i szkalują. Przy tym — potrząsają groźnie bombą atomową. Kiedyś nawet gen. Clay krzyknął patetycznie, że będzie bronił zbrojnie Berlina. Rzeczywiście krzyczał. I oczywiście przyrzeczenia nie wypełnił. Bo łatwiej jest mówić — niż robić. Łatwiej jest ogłupiać naród amerykański — niż pociągnąć go do walki przeciw urojonemu przeciwnikowi. Czy myślicie, że naród amerykański nie zadaje sobie pytania — kto stanowi większe niebezpieczeństwo: odradzający się faszyzm niemiecki i japoński, czy też Związek Radziecki, który ocalił świat i cywilizację przed zalewem nowoczesnego barbarzyństwa? Czy myślicie, że miliony ludzi w Ameryce — poza „wszechsłyszącym" uchem Komisji do Badań Działalności Antyamerykańskiej — nie szukają przyczyn wzrostu cen, strajków, rozprzestrzeniającego się bezrobocia — i doprawdy nie rozumie, dlaczego rząd amerykański miast zatroszczyć się o poprawę bytu i warunków materialnych swego narodu i rozwiązania trudności gospodarczych, w jakich znalazł się kraj — mówi o wojnie, która na pewno nie podniesie stopy życiowej szerokich mas ludności amerykańskiej — i zbawienia szuka w bombie atomowej, która , jak dotąd, nie przyczynia się do podniesienia stopy gospodarczej, tylko zniszczenia? Tego rodzaju pytania drążą umysły obywateli Stanów Zjednoczonych.

Te nastroje wyczuł Truman. Zagrał na nich. I wygrał — ponowną czteroletnią kadencję w Białym Domu. Czy wyciągnie na przyszłość wnioski z tych wydarzeń i nastrojów narodu amerykańskiego? Czy zrozumie, że jest on przeciwny polityce terroru, strachu, wojny i Komisji Badania Działalności Antyamerykańskiej? Zależy to od jego wyczucia politycznego i ludzi, jakimi się otoczy. Istotne jest jednak, że będzie musiał się liczyć — chcąc nie chcąc — z antywojennymi nastrojami narodu amerykańskiego.

K. S.

Co ze szkołami na wsi

W ubiegłym roku szkolnym wiejskich szkół powszechnych było 19.485. Jest to cyfra stosunkowo duża, szczególnie gdy weźmie się pod uwagę zniszczenia wojenne na tym odcinku i znaczny ubytek ludności. Nie znaczy to jednak, aby problem oświaty powszechnej na naszej wsi przedstawiał się dobrze. Cóż bowiem mówi statystyka?

Mówi, że na 19.485 wiejskich szkół powszechnych mamy jeszcze 8.437 szkół o jednym nauczycielu, a więc około 40 proc. W takich szkołach uczyło się ubiegłego roku 455.000 młodzieży chłopskiej. Cóż to oznacza?

1) W szkole o jednym nauczycielu młodzież uczy się tylko 15 godzin tygodniowo, podczas gdy w pełni obsadzonej — 22 godziny. W skali rocznej tracą tu dzieci chłopskie 224 godziny nauki, ponieważ uczą się w ciągu roku szkolnego jedynie 480 godzin. Pełna szkoła zapewnia 704 godziny nauki.

2) Wartość nauczania w szkołach o jednym nauczycielu jest niewystarczająca. Nauczyciel pracuje rano i po południu ucząc równocześnie dwie klasy w jednej sali (głośne i ciche zajęcia).

3) W szkole o jednym nauczycielu jest trudno ożywić życie społeczne młodzieży. Nie ma tam zazwyczaj ani świetlicy, ani chóru, zorganizowanego czytelnictwa itp. Natomiast osamotniony nauczyciel nie znajduje warunków na pogłębienie i poszerzenie własnych wiadomości.

4) Szkoły o jednym nauczycielu dają wykształcenie najwyżej w zakresie 4 klas. Po ich ukończeniu nie może młodzież przejść do szkół średnich. Dlatego wisi nad nią bardzo często widmo wtórnego analfabetyzmu.

Wydaje się, że sytuacja na odcinku kształcenia nauczycieli przedstawia się nieźle. W roku szkolnym 1945/46 uczyło się w liceach pedagogicznych, kursach pedagogicznych i w szkołach przygotowawczych — 18.800 przyszłych nauczycieli i nauczycielek. W bieżącym roku szkolnym cyfra jest jeszcze większa.

Gorzej jest jednak z budownictwem szkół. Przed samą wojną co druga szkoła wiejska mieściła się w wynajętym, przeważnie jednoizbowym lokalu. Nie mam pod ręką aktualnych cyfr, myślę jednak, że obecnie sytuacja nie uległa poważniejszym zmianom. Stąd też zagadnienie budowy szkół wieloizbowych staje się bardzo ważne. Jasne, że nie wystarczy tu pomoc państwa. Trzeba pomyśleć o społecznej akcji budowy szkół wychodzącej od samych chłopów.

Jest więc duże i ważne pole do działania dla partii politycznych, Służby Polsce, wiejskich kół Związku Młodzieży Polskiej. Bo przecież sprawa pełnej oświaty powszechnej na wsi, to w znacznej mierze sprawa **wieloizbowych** budynków szkolnych.

p. p.

Lekcja wychowania

W „Tygodniku Powszechnym" (Nr. 45) ukazał się „List pasterski Episkopatu Polski".

Władcy Kościoła katolickiego w Polsce starają się na wstępie przekonać wiernych o życzliwości Ojca św. dla Polski. Przekazują naszemu krajowi zapewnienie i Ojca św. i Sekretariatu stanu Jego Świętobliwości, „że nigdy nie kwestionowali oni granic Rzeczypospolitej Polski, i że nigdy nie myśleli zajmować się sprawą granic, o których stanowią nie czynniki kościelne, lecz międzynarodowe umowy".

F A K T Y
i
Z D A N I A

Szeroko otwieramy na to oświadczenie oczy. Na przestrzeni ostatnich dwóch lat każdy nieuprzedzony czytelnik mógł obserwować wytężoną działalność książąt Kościoła, wiążącą akcjami dyplomatycznymi Watykan i USA, Watykan i Hiszpanię gen. Franco, Watykan i Niemcy stref zachodnich a wreszcie Watykan i Francję z rosnącymi wpływami gen. de Gaulle'a.

„Verba volant, scripta manent".

W związku z naszymi granicami zachodnimi sporo napisali niemieccy dostojnicy Kościoła katolickiego. Zakładając dyscyplinę hierarchii kościelnej, nie można sobie wyobrazić, żeby ich oświadczenia nie były opatrzone papieskim „nihil obstat".

Nie kwestionujemy ojcowskiej miłości Ojca św. dla narodu polskiego, nie zaprzeczamy jego przyjaznego stosunku do Polski. Pytanie tylko, jaką Polskę zechciałby papież obdarzać uczuciami swojej sympatii? Wynika to jasno z treści zamieszczonego listu pasterskiego. Mamy tu kilka sformułowań, które są równoznacznikiem Polski dzisiejszych przemian społecznych. Polska ta ogarnięta jest „zarazą rozwiązłych obyczajów". w tej Polsce „niejedno serce trworzy się i popada w odrętwienie", „naród polski nie upada jednak na duchu, nie gubi się w skargach i lamentach". — Oto kilka typowych określeń, malujących sytuację kraju. Ojciec św. błaga Boga, „by ten kraj pod roztropnym a troskliwym przewodnictwem dostojnego Episkopatu mógł zawsze i słusznie szczycić się chwalebnym tytułem swej niezłomnej wiary".

Episkopat nasz daje w związku z tym cały szereg wskazań: rodzice katoliccy nie powinni się troszczyć o to, by dzieci ich otrzymywały wiedzę, zdobyły zawód, by tą wiedzą i zawodem przyczyniały się do odbudowy zniszczonego kraju, by umiały kierować nim w przyszłości według zasad sprawiedliwości społecznej, gdzie nie ma wyzysku człowieka przez człowieka. Kardynalną troską rodziców ma być nieposyłanie dzieci do szkół, z których usunięto naukę religii.

„Dziecko już na kolanach matki ma uczyć się znaku krzyża św. i krótkiego pacierza, w wieku przedszkolnym ma ono poznać Chrystusa i Matkę Najświętszą, kochać rzeczy święte, brać udział we wspólnym pacierzu. Młodzież dorastająca ma wypełniać swoje życie religijne przez liturgię i sakramenta św."

Zasady wiary katolickiej są wieczne i niezmienione, niezmienny jest również jej system wychowawczy. Należy więc przypuszczać, że odwołanie się do historii potwierdzi nam, czy system ten dawał dobre rezultaty. Redakcja nasza otrzymała właśnie od Władysława Błachuta materiały, omawiające broszurę Jana Nepomucena Janowskiego (1862 r.). W broszurze tej autor powołuje się na dokumenty „Litvanicorum Soc. Jesu historiarum libri X". Dowiadujemy się stąd, że z nadania Jezuitów organizowały się w XVII w. sekty biczowników, które miały umacniać wiernych w przywiązaniu do wiary. Członkowie tych sekt rozwijali niewątpliwie dużą inwencję. Między nimi znalazł się i Albrecht ks. Radziwiłł, „który wymyślił sobie taką machinę, w której się pewnych czasów zamykać kazał. Ta tak misternie zrobiona była, że się w niej ani ręką, ani nogą ruszyć nie mógł, albowiem zupełnie był zamknięty, **oprócz tyłu, w który go uczynionym ku temu celowi otworem — użyte do tego celu osoby rózgami siekły"...**

Polska XVII wieku była najbardziej katolickim krajem w Europie, na skutek tego miała jezuickie szkoły, no i miała sekcje biczowników — nie zapewniło jej to jednak rozwoju gospodarczego, nie wpłynęło na rozkwit nauk, nie podniosło kultury, nie dało postępu społecznego, przeciwnie, prowadziło nieuchronnie do ruiny narodowej i utraty niepodległości. Dzisiaj, gdy naród w nowym ustroju w niesłychanym trudzie przebudowuje swój system produkcji, gdy na wszystkich szczeblach dokonują się przemiany społeczne i kulturalne — dzisiaj Episkopat Polski zaleca nam wychowywanie młodzieży w duchu, który w przeszłości zrodził nam Albrechtów, Radziwiłłów.

Młodzież polska uczy się historii, młodzież polska już wie, co to jest naukowy pogląd na świat, wie również, że „krwawe przewroty" to nie kara Boża za bezbożność i rozpustę, ale konieczne fakty historyczne, świadczące o postępie społecznym.

M. K.

Co kogo?

Różne są troski i zainteresowania w naszej dzisiejszej rzeczywistości, różne zależnie od tego, z jakich kręgów społecznych i tradycji wychodzą. Episkopat nasz troszczy się generalnie, by „domy polskie promieniowały cnotą, skromnością, pracowitością, uczciwością, pobożnością, pięknymi tradycjami religijnymi i narodowymi".

Czołowy publicysta katolicki — Kisiel w swoich felietonach „Pod włos" będzie wspierał utwierdzanie pięknych tradycyj religijnych i narodowych. Jeżeli jego zapowiedzi felietonów w „Tygodniku Powszechnym" nie są kawałem (a Kisiel lubi nabierać swoich czytelników) — no to rzeczywiście i na tej „niwie" można zauważyć subtelnie rozgrywaną „walkę klasową". Wszystko może być naturalnie żartem, dlatego nie czas na wyciąganie konsekwencji. „Żart jednak niech się żartem odciska".

Kisiel obiecuje swoim czytelnikom dużą frajdę. Będzie im mówił o Krakowie. A więc o poranku w Krakowie, o dniu i wieczorze grodu, w którym rezyduje kardynał Sapiecha, będzie mówił o listopadzie w tym mieście, o zimie. Zapowiada, że stać go na swojego rodzaju krakowskie „perpetuum mobile".

Można by podejrzewać tu specyficzną postawę pisarską „na dziś" publicystów określonego kręgu. Jest tak zresztą i z poniektórymi naukowcami. Jeden z czcigodnych profesorów historii literatury ma również na swoim koncie coś w rodzaju perpetuum mickiewiczowskiego. Ale jak interesująco skonstruowane? Na seminarium z swoimi uczniami przerabia on ciągle tak frapujące „problemy": „Poranek w poezji Mickiewicza", „Wieczór w poezji Mickiewicza", „Anioł w poezji Mickiewicza", „Diabeł w poezji Mickiewicza" i tak w nieskończoność.

Drugi z wymienionych to już na pewno (a Kisiel — to się jeszcze okaże) uprawia swoją „dziwną zabawę". Wobec niewątpliwie brzydko dla ucha pisarzy katolickich „skrzeczącej" dzisiejszej rzeczywistości — można zająć właśnie taką postawę — zgłosić swoje „desinteressement", — toteż jednak jest walka. Może się uda wyizolować swoich uczniów i swoich czytelników z problematyki dzisiejszej. Będzie ich się czarowało mgiełkami krakowskimi, asocjacjami dawnej staropolskiej kuchni. Inwencję tu można dużą rozwinąć, potrzeba tylko talentu, no a Kisiel talent niewątpliwie ma. Ciekawiśmy bardzo jak będzie dalej prowadził swoją „dziwną zabawę"

L. S.

„Wniebowzięty autor"

W Nrze 45 „Dziennika Literackiego", Jalu Kurek kończy swój reportażyk z objazdu po ziemi krakowskiej i rzeszowskiej słowami biblijnymi. „Nie samym chlebem człowiek żyje". Oczywiście, bo oprócz chleba, trzeba też człowiekowi, jeśli już nie wiedzy, to przynajmniej doświadczenia takiego, jakie zdobył autor „Grypy" w czasie objazdu dwu województw. „Rozreklamował kulturę jak pastę do zębów" i to wystarczyło, bo „słuchacze wzruszeni, zasłuchani, cisi" — i z biernej ich postawy Jalu Kurek przekonał się o ich „niesfałszowanym stosunku do kultury, stosunku niezakażonym wielkomiejskim snobizmem i załganiem". Pochwala więc prowincję, gloryfikuje młodzież i nauczycielstwo.

Z opisu Kurka czytelnik doznaje wrażenia, że autor (J. Kurek) bardzo rzadko styka się z ludnością prowincji, choć sam radzi innym autorom tworzyć w „kontakcie z społeczeństwem, a nie w izolacji za szklanną szybą"

W początku podróży zajaśniała Kurkowi Bochnia „żyjąca swoją solną sławą". No i ta „sala trzykrotnie nabita młodzieżą". Być może, iż w tym „solnym okręgu" ludność jest mądra (sól — symbol mądrości) i Jalu Kurek nie potrzebował nawet wdawać się w dyskusję z słuchaczami i na ognistym wozie uniesień pojechał do Mielca. Tam poznał „zaharowanego inspektora oświatowego Regnera" i to mu wystarczyło za dowód, że tamtejsza ludność jest dość przygotowana do konsumcji kultury.

Z kolei w Tarnobrzegu poznał Kurek drugiego inspektora Steina, z śpiewną kresową mową, przystojnego Zimoląga „z zabójczą czupryną", następnie pokazał mu starosta „odnowiony lokal", gdzie rozpoczął z „panią Weissową budującą mowę o alkoholiźmie".

W Dębicy zobaczył Kurek ponad 800 młodzieży szkolnej, kwiaty, przemówienia. „Młode pokolenie dębickie spisało się porządnie". Mądre to musi być pokolenie i tak wzniośle przemawiające, aż Jalu Kurek rzucał z radości kwiaty. A na deser „list od pani Grabowieckiej, córki podhalańskiej Naprawy".

W Tarnowie Kurek domyślił się, że trzeba z słuchaczami rozpocząć dyskusję. Musiała to być dziwna dyskusja, skoro według Kurka tamtejsza „młodzież wykazuje wiele zainteresowania i orientacji". Bo według mnie — to gdyby młodzież była dość zorientowana, też by zarzuciła autora kwiatami.

W końcu swego etapu, w miasteczku Biecz, poznał Kurek „piękną postać ideowca dra Bielskiego".

Tyle dowiedzieliśmy się od Jalu Kurka z jego objazdu po całej prawie Małopolsce. Były „zabite sale, zorientowana młodzież, piękne postacie, z zabójczymi czuprynami, inspektorzy, doktorzy, oświatowcy, odnowione lokale z wieżyczkami, kwiaty, wzniosłe przemówienia, pochwalne listy, sól mądrości i wszystko, co tylko sam Bóg stworzył na tym ziemskim padole. Na tym właśnie według Kurka polega „prawdziwy niesfałszowany, niezałgany stosunek ludności prowincjonalnej do kultury". Kurek nie postarał się sprowokować tej biernej i na odmianę olśnionej swą postacią — publiczności do dyskusji na ich stosunek do obecnych przemian społecznych, do klasowej twórczości, do czytelnictwa, do kultury itd... Może i dobrze zrobił, bo zamiast kwiatów pod stopy — byłby otrzymał wiele cierpkich uwag, posądzeń, głupich wykrętów i zrozumiałby, że się znalazł nie „w kraju króla Ćwieczka", lecz w zapóźnionej prowincji, która jeszcze dużo pozostawia do życzenia na każdym polu ogólnego postępu życia.

Kurek z objazdu wyniósł jedno doświadczenie: ludność na prowincji jest „cicha, zorientowana, nieskażona, niezałgana, uspołeczniona, oczytana, ukulturalniona"... Więc o ileż „Czytelnik" zrobiłby lepiej, by zamiast Kurka — wysłał w krakowskie i rzeszowskie parę transportów swoich pism i książek...

Józef Pogan

Post Scriptum:

W chwili pisania tych słów myślę właśnie o swym objeździe Śląska w dniach: 21, 22, 23 i 24 listopada. Ciekaw jestem nastroju słuchaczy. Jednak z góry jestem przekonany, że ani jeden kwiat nie padnie pod me stopy. A to dlatego, że między mną a słuchaczami nie będzie żadnej przestrzeni.

J. P.

Jak święci Pańscy dopomagają przy egzaminie z teorii marksizmu

Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego wprowadziło ostatnio dla nauczycieli gimnazjalnych, którzy ubiegają się o przyznanie pełnych kwalifikacji, przymusowy egzamin z zagadnień Polski i świata współczesnego, z teorii marksizmu, z ekonomii i nowoczesnej metodologii nauk. Jest to posunięcie niezmiernie celowe i słuszne (szkoda tylko, że, o ile wiem, odosobnione. Inne kuratoria uważają prawdopodobnie, że mają czas).

Nie wiem, jak ten odpowiedzialny i niełatwy egzamin wygląda (część teoretyczna obejmuje zagadnienia dość trudne i dla większości kandydatów, mimo czterech lat Niepodległości — świeże), ponieważ jest tajemnicą poliszynela, że znikomy tylko odsetek nawet spośród nauczycieli tego pokolenia czyta poważną prasę społeczną i naukową.

Kandydat do egzaminu, znajomy nauczyciel łaciny w gimnazjum, „którego nazwiska nie wspomnę, nic to albowiem do rzeczy nie przyda", prosi mnie o „fachową pomoc". Ma dwa miesiące na przygotowanie się. Po zorientowaniu się w programie daję mu dwie broszury klasyków (ograniczam się w ogóle do minimum), Schaffa, Gąsiorowską, broszurę Żółkiewskiego o naczycielstwie, Hist. Gospod. Kuli, Dylika, kilka artykułów z „Kuźnicy" i „Wsi". Zachnął się, spojrzał na mnie z ukosa tak jak się patrzy na kogoś, kto kpi i o drogę pyta, a także jak się w niektórych kołach patrzy na.. prawdziwego marksistę.

Rozmówca mój znalazł dużo łatwiejsze i skuteczniejsze środki pozbycia się „kłopotu".

1) zeszyt przedmiotowy swego młodszego brata z Nauki o Polsce Współczesnej (brat miał podobno z tego przedmiotu czwórkę).

2) codzienną nowennę do świętych Pańskich szczególnie zainteresowanych w szczęśliwym zdawaniu egzaminów przez wiernych.

I rzeczywiście, moje propozycje okazały się donkiszoterią, a święci pańscy poczciwie dopomogli nawet przy tak dla siebie niesympatycznym przedmiocie jak marksizm. Mój łacinnik zdał „na bardzo dobrze". Egzamin trwał raptem 12 minut. Pytania postawione zgoła niekłopotliwe:

1) szkoły w Sparcie, 2) jakie mamy obecnie partie polityczne? 3) Kiedy został wygłoszony Manifest P.K.W.N. i co zawierał? Po tym oczywistym sukcesie mój rozmówca jako „spec" objął wakującą „katedrę" zagadnień. A lekcje łaciny? Aktualizuje... emanację „Wiecznego Ducha Hellenizmu" na polskich „Wieszczów".

Czcigodni egzaminatorzy, wiadomo, że macie mało bardzo czasu, a wielkie serca. Ale niechże ten egzamin nie będzie fikcją, gdyż w takim wypadku fikcją staje się i likwidacja niedomagań naszego dzisiejszego szkolnictwa.

T. R.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 60.000.— zł; 1/2 kolumny 30.000.— zł; 1/4 kolumny 15.000.— zł; 1/8 kolumny 8.000.— zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł, kwartalnie 180.— zł, półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.
Drukarnia Nr. 4 Spółdz. Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.
D-028779